№ 23. Warszawa, dnia 9 Czerwca (28 Maja) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym abonentom naszym przypominamy zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty i prosimy o zamówienia wczesne, ażebyśmy im mogli w porę zadość uczynić.

LICZBA I POTĘGA DUCHOWA.

Onego czasu rzekł Taaffe rzeszy austryackiej: zaprawdę powiadam wam, ci, którzy byli poniżeni, będą wywyższeni, a ci, którzy byli wywyższeni, zostaną poniżeni. Jakoż polacy, czesi, słowacy, rusini i inne ludy słowiańskie zaczęły obsiadać ten stół, przy którym na połowie stołków rozłożył się faryzeusz niemiecki, pozostawiwszy drugą celnikowi madziarskiemu. I zerwał się wielki krzyk na nowego proroka. Słyszeliśmy skargę synów Germanii, posłuchajmy teraz groźby potomków Attyli.

Przedewszystkiem jej powód. Sejm czeski, nieprzedstawiający wcale rzeczywistych stosunków kraju i zawierający w nieproporcyonalnej mierze niemców, nakoniec rozwiązano i nakazano nowe wybory, które ich przesieją przez gęste sito. Przed tym naturalnym i z pozoru niewinnym krokiem rządu stanęły dęba nietylko dzienniki niemieckie, ale i węgierskie. Największy z ostatnich folblut, na którym jeżdżą urzędowi heroldowie madziaryzmu, *Pester Lloyd* tak się rozgniewał, że grozi odmową ciągnięcia państwowego rydwanu — według następującej logiki. Rząd słowianizuje sejmy prowincyonalne, tekanały politycznego życia Austryi, na co Węgry spokojnie patrzeć *nie mogą*. Z państwem, które ilości daje panowanie nad jakością, liczbie—nad cywilizacyą, które powoli wszelką władzę ustępuje słowianom i które stanowi tylko spruchniałe ramy dla partykularyzmu — dualizm (ugoda austro-węgierska) pod obecną swą formą się nie utrzyma. Bo „i w Węgrzech panowanie plemienia madziarskiego spoczywa na przewadze potęgi duchowej i politycznej nad stosunkami liczebnymi; i w Węgrzech idea i powaga państwa mają swoje jedyne oparcie w żywiole, który owo państwo wytworzył, nadał mu treść i charakter; w Węgrzech również pierwiastek słowiański działa przeciw historycznemu ukształtowaniu się i jedności państwa. Jest więc rzeczą oczywistą, że dążenia te mogą tylko doznać pobudki, gdy będą mogły oprzeć się na podobnych dążeniach w Austryi." A więc... nawet anglicy mają prawo zaprotestować przeciwko wyzwoleniu ludów słowiańskich monarchii habsburskiej z obawy o Indye, gdzie także panują jako „cywilizacya" nad „liczbą." Dziwnym kopciuszkiem jest ta biedna Słowiańszczyzna, skoro nawet takie marne Węgry mogą jej przyznawać tylko wartość „liczby" i upominać się o przewagę dla swej „potęgi duchowej." Jakiej potęgi? Jeżeli odstawimy na bok Jokajów, Munkaczych i kilka jeszcze głośnych nazwisk, kto słyszał o geniuszu madziarskim? Czy oblewają świat promieniami węgierscy uczeni, poeci, rzeźbiarze, czy tam palą się wielkie ogniska przemysłu? Słyszymy o węgierskiej pszenicy, słoninie, bryndzy, winach i innych płodach, ale do tego, ażeby „liczba" musiała paść na kolana przed „potęgą duchową"—tytułów tam brak. Zważmy tylko, kto to i komu imponuje; węgrzy, którzy przy poborze (1870) rekruta przedstawiali 25½% umiejących pisać, opierają się rozwojowi czechów, którzy w tym samym czasie posiadali 65½%. To jest „potęga duchowa!" Nie mamy statystyki etnologicznej, przypuszczamy więc, że zgnieceni pod koroną św. Stefana słowacy, serbowie, kroaci, rusini są żywiołami cywilizacyjnie słabszymi, ależ trudno wyrosnąć pod stopą madziarskiej tyranii.

Lepiej by też on zrobił, powołując się wyłącznie na konstytucyę. Artykuł 28 ugody powiada: „Z jednej strony kraje korony węgierskiej razem; z drugiej — kraje i prowincye cesarskie *ogółem* uważają się za dwie oddzielne, wszakże zupełnie równouprawnione części a niezbędnym warunkiem obu tych części przy traktowaniu spraw wspólnych, jest całkowita równość (*parität*)." Wobec tego zastrzeżenia, rozłam Cislitawii na dwie połowy: słowiańską i niemiecką — rzeczywiście jest procesem, wychodzącym po za granice ustawy; ale. . w butelkach państwowych niezawsze burzące się mieszaniny korkiem zatkać i uwięzić można. Pojmujemy to bardzo dobrze, iż wymierający ludnościowo i słabi cywilizacyjnie madziarzy pragnęliby jak najdłużej utrzymać nietykalność paragrafów ugody, która dla nich uciska plemiona liczniejsze w kraju i zapewnia pół władzy w państwie, ale pojmujemy również, że narody słowiańskie nie mają ani interesu, ani potrzeby pielęgnować budowy politycznej Austro-Węgier, którą hr. Taaffe przerabia według nowego planu. Daremne skargi, a podobno jeszcze daremniejsze groźby: jeżeli jakiś uragan nie zmieni drogi rozwoju stosunków austryackich, federalizm posuwać się będzie ciągle, a z tego federalizmu słowianie wyjść muszą zwycięzcami, bądź jako „liczba" w walce z niemcami, bądź jako „potęga duchowa" w zapasach z madziaryzmem. Dziś jego kwaśne lub srogie oblicze ukazuje się tylko w kolumnach dzienników, i w dziennnikach znajduje odprawę; ale gdy wystąpi na polu urzędowem, słowianie austryaccy, mamy nadzieję, będą umieli praw swoich bronić — nawet w starciu z nieprzyjacielem

posiłkowanym przez drugiego wroga — przez niemców. Ci bowiem, chwyciwszy czujnem uchem mruczenia peszteńskie, cieszą się z niespodziewanego sojusznika i ofiarują mu swe poparcie. Nie wiele chyba wody upłynie, jak przekonają się, że madziarowie myślą tylko o ochronie przywilejów madziarskich i ani jednemu tonącemu centraliście nawet brzytwy nie rzucą, jeżeli za nią musieliby choć cokolwiek zapłacić. „Niemcy — ostrzega już *F. Zeitung* — powinni pamiętać, że wszystko, co Węgry robią, robią pod natchnieniem nie austryackiego, nawet nie austryacko-węgierskiego, lecz tylko madziarskiego interesu.“ Którakolwiek zatem owca wilkowi pomoże, własne swoje bezpieczeństwo zmniejszy.

Ulgi manifestu.

I.

(Ogólne.)

Pisma codzienne podały już dosłowny tekst Najwyższego manifestu; uważamy z swojej strony za właściwe podać kilka wyjaśnień, zwłaszcza w punktach, dotyczących naszych stosunków.

Manifest składa się z 17 paragrafów; w pierwszych sześciu pomieszczone są ulgi dla tych, którzy z powodu ubóstwa lub zbiegu nieszczęśliwych okoliczności nie mogli wypełnić wszystkich ciążących na nich względem rządu obowiązków; w dziesięciu następnych — przebaczenie lub zmniejszenie kary dla przestępców zwyczajnych i politycznych a również dla wysłanych administracyjnie, oraz wyjaśnienia przepisów o zwrocie i umorzeniu kar; nakoniec 17-ty paragraf zapowiada, że ulgi dla Finlandyi ogłoszone będą osobno.

Do pierwszej kategoryi ulg należy umorzenie zaległości i niedoborów do dnia 1 stycznia 1883 r. z podatku podusznego (istniejącego tylko w Cesarstwie), zaległości powstałych ze spłacania świadectw wykupnych itp.; umorzenie kar należnych skarbowi za opóźnienie w opłacie podatku gruntowego, głównego i dodatkowego. Ta część paragrafu 1-go stosuje się wyłącznie do mieszkańców Królestwa; dla uniknienia zaś nieporozumień, zwracamy uwagę czytelników, że w tym wypadku umarzają się tylko kary, a nie zaległości. Umarzają się także *kary* z podatku kwaterunkowego i opłat procentowych od majątków nieruchomych, należących do osób pochodzenia polskiego w zachodnich guberniach. Podane przez nasze gazety tłomaczenie tego ustępu jest nadzwyczaj niejasnem; porównaliśmy więc go z tekstem rosyjskim i nie znaleźliśmy w tym względzie najmniejszej wątpliwości. Kary egzekucyjne i inne w Królestwie za niewniesienie w terminie podatków i opłat zostają całkowicie darowane. Ustęp 6 paragrafu 1-go mówi o umorzeniu procentów i kar za niewniesioną w terminie opłatę akcyzną, zaś paragraf 11 objaśnia, że wszelkie kary, zaległe długi i wypłaty, złożone do kas państwowych, nie zwracają się, z wyjątkiem wyszczególnionych w ustępach 1, 2 i 6 paragrafu 1-go. Wynika więc z tego, że wymienione wyżej procenty i kary od rozłożonej na raty i nieopłaconej we właściwym czasie akcyzy, winny ulegać zwrotowi, ale za jaki czas, szczegółowych wskazówek nie ma. Nareszcie ustępy 7 — 13 włącznie traktują o umorzeniu zaległości w opłatach konsensowych za prawo handlu i rzemiosł, darowaniu przebranej emerytury, umorzeniu niedoborów w podatkach niestałych, z wyłączeniem opłat celnych, wydatków na utrzymanie i transport aresztantów i rozchodów skarbu na dyety dla świadków itp. dokonanych na rachunek winnych itd.

Paragraf 2-gi wylicza rozmaite ulgi dla dzierżawców dóbr skarbowych, udziałowych i pałacowych (apanaże); paragraf 3-ci ulgi co do zwrotu pożyczek udzielonych osobom, gminom (obszczestwa) i instytucyom stanowym; zaś paragraf 4-ty wylicza zaległości, nieulegające umorzeniu. Do nich należą niedobory z opłat akcyznych, patentowych i celnych, powinności ziemskich, pożyczek zaciągniętych w państwowych instytucyach kredytowych i należności różnych instytucyj stanowych itp. Ulgi te w małej tylko części dotyczą naszego społeczeństwa.

Paragraf 5-ty nakazuje darować i umorzyć nie ściągnięte dotąd zaległości służbowe, szkody i straty spowodowane przez czyny występne i wykroczenia, popełnione przed dniem koronacyi. Szkody i straty, nieprzenoszące 300 rubli, nie podlegają dochodzeniu, jeżeli zaś sprawy o nich zostały ukończone, winny być umorzone. Ze szkód i strat na wyższą sumę umorzone będą na każdą osobę po 300 rubli. Do tej kategoryi zaliczają się kary pieniężne za niedbałość urzędników, zaległości z rachunków z ostatniej wojny, nadebranie pensyj itp. Wszelkie zaległości skarbowe (naczoty), ciążące na spadkobiercach osób winnych lub osobach pociągniętych do odpowiedzialności pieniężnej z powodu niewypłacalności bezpośrednio odpowiedzialnych — umarzają się całkowicie. Działania jednak punktów poprzednich nie stosują się do sum, będących w rozporządzeniu rządu, ale mających specyalne przeznaczenie lub stanowiących własność prywatną, ani do tych, którzy przywłaszczyli sobie lub roztrwonili własność skarbową, wreszcie do osób, które wyrządziły szkody świadomie w celach korzyści osobistej. Dla wszelkich innych skarbowych strat i szkód, oraz dla spadkobierców osób popełniających je — oprócz powyżej wymienionych zaległości podlegających natychmiastowemu umorzeniu — naznacza się 10-letnie przedawnienie.

Paragraf 6-ty uwalnia od opłaty kontrawencyi, kar za nieposiadanie świadectw kupieckich i przemysłowych itp. Moc jednak tego artykułu nierozciąga się do tych części kar, które idą na korzyść zakładów dobroczynnych, miast, sędziów, sekretarzy i osób, które wykryły powyższe przekroczenia.

KANCELISTA MAGISTRATU.

Szkic ze wspomnień

Wiktora Gomulickiego.

Mam duszę tak dziwnie ukształtowaną, że wystarcza mi usłyszeć pewien szczególny głos dzwonka, śpiewającego pewnym szczególnym rytmem, abym ujrzał natychmiast — na karcie książki, którą czytam, na murach ulicy, którą przechodzę, na ścianie pokoju, w którym rozmyślam — dokładny obraz miasteczka, w którem przeżyłem dziecinne i pacholęce lata.

A właśnie taki dzwonek śpiewa mi teraz codziennie w godzinie zachodu, z wieży pobliskiego kościoła.

I codziennie też, razem z promieniem słońca, które nakształt nitek różowego jedwabiu, plącząc się po komnacie, przybywa do mnie wizya doby wczorajszej i tłumem znajomych postaci zaludnia moją samotnię...

* *
*

I widzę naprzykład: jesienny, wilgotny ranek, wąskie uliczki, zalane mrokiem i szczyty kościoła ojców Bernardynów, tonące w mgle, śród której świergocze dzwonek, wzywający na mszę studencką.

Z murowanych domów i z dworków, zasuniętych w ziemię, wyfruwają, niby chrząszcze z pod trawy, małe i mniejsze żaki, z tekami i bez tek, w płaszczach i bez płaszczów, o mizernych i pucułowatych twarzach, z błyszczącemi lub zaspanemi oczami.

Wybiegam i ja, obcierając usta po kawie i powtarzając półgłosem dla wprawy: nominativus *rosa*; genitivus *rosae*; dativus *rosae* itd. W tece mam kilka ciepłych jeszcze obwarzanków, dwie pachnące gruszki oraz latawca, którego dziś właśnie mamy puścić ze szkolnego dziedzińca. Biegnę kłusem, potrząsając wesoło teką i strasząc gołębie pana burmistrza, które na środku rynku wyprawiają sobie sute śniadanie z resztek wczorajszego targu.

Sklepy są jeszcze zamknięte, w parterowych mieszkaniach bose sługi otwierają, ziewając, okienice, i tylko przemyślny Nosek zatlił w swym kramiku łojówkę i stoi we drzwiach, kusząc przechodzących malców do kupowania piór, atramentu i... papierosów.

W niskim domku, pomalowanym na kolor pomidorowy, odmyka się, skrzypiąc, furtka i wysuwa się z niej ostrożnie mały człeczek, w burym szynelu sięgającym do kostek i w ciemno-zielonej czapce, z czerwonym, krzyczącym w niebogłosy, lampasem. Ciśnie on pod pachą oprawny w cielęcą skórę *Głos bolejącej duszy* i drepcze razem z malcami do kościoła. Całej mszy słucha, klęcząc, ze wszystkich sił bije się w piersi, całuje obrazki, których ma pełno w książce, a zaledwie pierwsza klasa, uszykowana w pary, pocznie przebierać nogami, zmierzając w stronę korytarza, łączącego kościół ze szkołą, zrywa się jak ptak zestraszony i pędzi co tchu do wielkiego, szarego gmachu, który rozsiadł się poważnie na rynku miasteczka.

* *
*

Gmach ten, to Ratusz.

Zajmuje on środek rynku i wygląda brudno, ale okazale. Okazałość swą zawdzięcza głównie imponującej wieży w kształcie ostrosłupa, która zdobi jeden z jego boków. Na wieży pełno szarych okienek, z których czasami wyglądają gołębie, a czasami znów chytre twarze żydków, osadzonych przez burmistrza w areszcie. Prócz adeptów Merkurego i ptaków Wenery, gnieżdżą się tam jeszcze całe stada wróbli i jaskółek, staczających z sobą, co wiosna, hałaśliwe boje.

Każdy z czterech boków Ratusza posiada odmienny charakter. Bok północny wygląda groźnie, dzięki mieszczącemu się w nim odwachowi. Przypiera do tego boku niewielka budka, malowana w czarne i białe pasy, oraz takiż daszek, oparty na drewnianych filarkach; przed nim zaś sterczą ustawione rzędami słupki do opierania bagnetów, co przypomina uderzająco — bilard chiński. Z tego miejsca rozbiegają się co wieczór po miasteczku melancholijne dźwięki capstrzyka, zwiastujące spokojnym obywatelom godzinę spoczynku. Gdy w miasteczku przebywa znaczniejszy od-

ZAPOMNIANY A SZLACHETNY.

Mamy więc nowych biskupów. Specyaliści od przemawiania w imieniu narodu zapewniają, że każdy z nich jest naczyniem napełnionem po wręby najrozmaitszemi cnotami chrześciańskiemi i obywatelskiemi. Nie przesądzając przyszłości, cieszymy się tem świadectwem na kredyt, a tymczasem w oczekiwaniu czynów, pozwalamy sobie wspomnieć o jednym z ustępujących dostojników kościoła, mianowicie o byłym biskupie wileńskim, ks. Krasińskim, który nie potrzebuje przyjacielskiej reklamy, dla tego właśnie może, głucho o nim w naszej prasie.

Piszący tę wzmiankę, przed paru laty przebywał czasowo w Wiatce, a chociaż osobiście nie poznał wcale ks. Krasińskiego, z ust tamecznych mieszkańców zebrał o nim szczegółowe wiadomości, któremi dziś dzieli się z czytelnikami *Prawdy*.

Nieraz w rozmowach z rosyanami różnych warstw dowiadywałem się wielu rzeczy „o polskim archijereju.“ Chwalono jego miłosierdzie, ogarniające wszystkich bez różnicy wyznania, dziwiono się skromności i przystępności w obejściu. Biskup posiadał dom własny i ogród, jedyny, zdaje się, w Wiatce, posiadający wybornie zaaklimatyzowane drzewa owocowe. W towarzystwach bywał rzadko, większą część czasu zimą spędzał w bibliotece, latem w ogrodzie; samotność jego dzielił stary sługa, przywieziony z Wilna. Czasem widziano go na ulicy, zwykle otoczonego dziećmi i rozdającego im łakocie. Dzieci lubił szczególnie i chętnie z nimi przebywał. W ogrodzie zbierały się nieraz całe gromady — były to dzieci zamożniejszych i zupełnie biednych rodziców, zarówno polaków jak i rosyan. Biskup nie uczył ich katechizmu, nie mówił o dogmatach, ale z pewnością mówił im o braterstwie wszystkich ludzi, o miłości bliźniego, a co ważniejsza, szczepił te uczucia w młodych sercach własnym przykładem.

Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie ten rys charakteru ks. Krasińskiego jest nadzwyczaj sympatycznym. Pokazuje bowiem, że suknia księża nie zabiła w nim uczuć ludzkich, że pod nią biło dobre, kochające serce.

Pewnego razu odwiedziłem jedną z moich znajomych rosyanek, odnajmującą pokój od zamieszkałej w Wiatce rodziny polskiej. Rodzina ta składała się z ludzi prostych i ubogich. Przez cienką, drewnianą ścianę, do uszu moich dolatywały dźwięki dawno niesłyszanego ojczystego języka. Gospodyni rozmawiała z dziesięcioletnią córką i kłopotały się obie, bo potrzebowały łopaty, a sąsiedzi pożyczyć nie chcieli.

— Idź do ks. biskupa i poproś — rzekła w końcu matka.

— E, kiedy się wstydzę.

— Idź, głupia, pocałuj go w rękę i powiedz, że mama prosi o pożyczenie łopaty, bo nam bardzo potrzebna.

Po chwilowem wahaniu dziewczyna wyszła i wkrótce wróciła z daną jej własnoręcznie przez biskupa łopatą.

Fakt napozór drobny, ale wybornie malujący człowieka.

Ks. Krasiński znanym jest w polskiej literaturze. Nie pisał wprawdzie żywotów świętych, ani traktatów teologicznych, nie przyczyniał się do ustalenia dogmatów, ani kultów bigoteryi, a chociaż napisał wykład prawa kanonicznego i przetłomaczył historyę kościoła Alzoga, prace te mają również naukową wartość. Natomiast spolszczył słowo o pułku Igora, przekładał Horacyusza i pisał... poezye. Opisowy poemat Wołyń, dotychczas niewydany. Jedyny jego wydrukowany list pasterski nakazuje podwładnemu duchowieństwu poszanowanie obcych wyznań.

Takim jest ks. Krasiński, takim przynajmniej przedstawiam go sobie na podstawie tego, co słyszałem i czytałem o nim. To nie butny książę kościoła, nie namiestnik ukoronowanego arcykapłana, to tylko prawdziwy sługa Chrystusa, syna cieśli, słodkiego nauczyciela, głosiciela dobrej wieści, który przyzywał do siebie maluczkich i strapionych. Prosty w obejściu, tolerancki, wolny od przesadnego ascetyzmu, ks. Krasiński zawsze przypomina mi owego biskupa z *Nędzników* Wiktora Hugo. My profani, nierozumiejący głębokiego znaczenia dogmatu Niepokalanego poczęcia, ani mogący ocenić obfitego strumienia łaski, jaki na nas spłynie z ustanowienia nabożeństw czerwcowych itp., umiemy jednak uszanować tego przyjaciela dzieci w sutannie, tego biskupa, który bez szemrania i z pogodą w sercu zamienił pastorał na... łopatę. Umiemy zaś tem więcej, że biskup Krasiński czy to na poprzednio zajmowanem, wysokiem stanowisku w kraju, czy podczas długoletniego pobytu pomiędzy rosyanami, zawsze i wszędzie był zacnym człowiekiem.

P. J.

Piotr Albiedyńskij.[1]

(Wspomnienie pośmiertne).

Albiedyńskij, mimo krótkiej działalności skrzesał swą śmiercią iskrę szczerego żalu. Nie błysnęła ona w ciekawości oblegającego Zamek i wypełniającego kondukt pogrzebowy tłumu, który z żadnych uczuć rachunku sobie nie zdaje i wszelkim paradom dostarcza obfitego kontyngensu, który szerokiemi falami potoczy się i za złoconą karetą i za wystawnym karawanem, ale zajaśniała we wspomnieniach dzienników i w żałosnym tonie zbudzonych wypadkiem rozmów. Byłaż ta niezwykła żałoba usprawiedliwioną? *Nowoje wremia*, które równie się dławi nienawiścią, jak sympatyą polaków do rosyan, pospieszyło ze sprostowaniem omyłki uczuć pogrzebowych. „W Warszawie—powiada ono—towarzystwo miejscowe, a po części także i zagraniczna prasa polska z niewiadomego powodu sławiła go jako przedstawiciela jakiejś polityki pojednawczej. Ponieważ zaś polityka *pojednania* względem polaków kończyła się dla Rosyi bardzo opłakanie i dzięki jej bywaliśmy zawodzeni, więc i wieść o nowej polityce tego rodzaju wywołała niepokój w prasie, a zwłaszcza w moskiewskiej. W istocie jednak nie można chyba przypisać zmarłemu podobnych intencyj. Łagodnemu charakterowi Albiedyńskiego nie mogły podobać się niektóre zbyt szorstkie objawy zbyt gorliwych i niecierpli-

---

dział wojska, capstrzyk wygrywany bywa na dwóch trąbkach z artystyczną precyzyą; w braku trąbek, stary inwalida wybębnia go na magistrackim bębnie, drżąco i ospale.

Południowy bok Ratusza obrócony jest na spokojne, kupieckie cele. Mieści się w nim kilka kramów, wyglądających z pozoru groźnie i zamczysto; żaden jednak Boruta nie ukrywa tam skarbów, lecz opasłe przekupki o poczciwych twarzach i jubkach mocno zatłuszczonych kupczą niewinnie rzeczami spożywczemi. Znajdziesz u nich: chleb, bułki, cebulę, krajanki sera i zeschniętą wędlinę, a w dnie postne specyał niezrównany pod postacią ryb, smażonych, jak święty Jan, w oleju.

Bok zachodni tworzy ścianę ślepą, bez drzwi i okien; we wschodnim zaś znajdują się drzwi przystrojone u góry urzędowym orłem i wiodące do wnętrza Ratusza.

* *
*

Wnętrze Ratusza!

Niejednemu dźwięk tych wyrazów wywoła przed oczy średniowieczny obrazek w przyćmionym kolorycie, z gmatwaniną gotyckiej architektury, rzeźbionemi stalami rajców, ponurą izbą kaźni i światłem pochodni, odbijającem się w ostrzu halabard...

Ale w Ratuszu, o którym mówię, niema nic podobnego.

Minąwszy prędko sień (przyczem nie zawadzi przytknąć do nosa flakonik z wonnością) wstępujemy na wschody, o stopniach szerokich i wydeptanych, które posiadają tę właściwość, iż przez rok cały, nawet wśród suszy lipcowej, zabłocone są i wilgotne. Wschody te wiodą nas na pierwsze piętro, gdzie znajduje się właśnie siedlisko władz municypalnych, zajmujących na swój użytek trzy olbrzymie komnaty.

Ongi, gdy burmistrz był najwyższą władzą miasteczka i mocen był nawet wyroki śmierci ferować, wrzał tu ruch niemały, i nikłe komnat oka nie raziła; dziś jednak szczupły zastęp interesantów nie jest w stanie wypełnić całkowicie tych izb przestronnych.

Pierwsza z nich stoi pustkami i służy za przedsionek. Przez wybite szyby wbiegają tu jaskółki, ćwierkając głośno nad głową starego policyanta, który zasiadł w kącie na zydelku i najspokojniej łata zdjęte z nogi obuwie.

Druga izba obszerniejszą jest jeszcze od pierwszej. W oknach jej znajdują się wszystkie szyby, a przyjrzawszy się bacznie ramom okien, widać nawet, iż przed kilku (może kilkunastu) laty, usiłowano zakleić je papierem na czas zimy. Tu, przy jednej ścianie tłoczy się gromadka interesantów wielce różnorodna i niecierpliwiąca się; przy drugiej zaś stoją dwa czarne stoły, oraz, zastawione szafami, wielkie, również czarne, biuro.

Przy stole siedzą wyrostki, ćwiczące się w kancelaryjnem piśmie. Posadziła ich tu wola rodziców i łaskawość pana burmistrza, woleliby jednak, o wiele więcej, ćwiczyć się u rudej Sury w grze bilardowe i popijać pewien niezrównany ponczyk który kręci w nosie, jak tabaka.

Za szafami, ukryty w papierach, jak fiołek w trawie, garbi się na wysokim stołku mały człowiek, którego już widzieliśmy na mszy studenckiej.

* *
*

Mały człeczek nazywa się Jan Nepomucen Kopyściński.

Burmistrz nazywa go „Kopystką,“ interesanci „panem sekretarzem,“ stan służby „kancelistą magistratu,“ niechętni „przechrztą z ratusza“ a żydkowie „Chaimkiem.“

Ma on głowę nadzwyczaj podobną do ogórka i ostrzyżoną przy samej skórze. Jakby na potwierdzenie przysłowia: „z kim kto przestaje, takim się staje,“ barwa jego twarzy przypomina zupełnie barwę papieru stęplowego. Wystająca broda zdaje się stworzoną do obfitego zarostu, ale mały człeczek wygala ją pedantycznie, pozwalając jedynie na podgardlu wyrastać grządce rudawych włosów, zakrytych zresztą czarnym, na haftki zapinanym krawatem.

Bury jego szynel znamy już, nie znamy wszakże jeszcze wielkiej kolekcyi kieszeni i kieszonek, w jakie strój ten jest zaopatrzony. System, jakiego się trzymano przy urządzaniu tych skrytek, jest zarazem: prosty i dowcipny. Polega on na tem, że jakikolwiek ruch ręką wykona właści-

wych, zdarzało mu się występować z opozycyą przeciw tym ostatnim. Te to bierne i przypadkowe objawy oraz wyszukana uprzejmość, jaką Albiedyńskij, człowiek światowy i dworak, okazywał zawsze wyższemu towarzystwu polskiemu, dzienniki polskie przedstawiły jako jakąś politykę pojednawczą, o której zmarły zapewne nie pomyślał.“

Jak zwykle, tak i tym razem *Nowoje Wremia* przejechało granicę prawdy. Żaden bowiem dziennik polski nie chwalił zmarłego za „politykę“ a tem mniej za klejenie *primirenia*, ale za uczciwy stosunek względem kraju, za chęć zadośćuczynienia niektórym jego potrzebom i prawom, oraz za obronę przeciwko niepożądanej gorliwości. Wiadomo, że Albiedyńskij popierał sprawę ostatecznego uporządkowania stosunków ziemiańskich, że energicznie zapobiegał ruchom antisemickim, że nie tamował powstawania bardzo wielu pożytecznych instytucyj, że — słowem — o ile to od niego zależało—nie wyzyskiwał surowości ustaw, nie hamował rozwoju prasy, nie był niszczycielem kraju, ale jego sumiennym rządcą.

W tej charakterystyce mamy już objaśnienie sympatyi, jaka się w prasie polskiej objawiła po jego zgonie. Co do nas, wyznajemy, że obserwując zmarłego generał-gubernatora tylko zdaleka, a jego działalność oceniając tylko z faktów, których rodowód dokładnie wyśledzić i zukrytemi w tajemnicy urzędowej zależnościami związać trudno, musimy za podstawę naszego sądu przyjąć *vocem populi*. Otóż *vox populi*, do którego przenikały zapewne informacye ludzi, stojących bliżej wielkiego ołtarza, objawia szczery żal po nieboszczyku, przypisuje nawet jemu i jego małżonce niezmiernie zacne i w rezultacie skuteczne starania. Za jego rządów w naszym kraju nie wchodziły do gry żadne wielkie interesy, z których mogłaby się utkać jakakolwiek, nawet rozdzierana przez *Nowoje Wremia* „polityka,“ lecz sprawy drobne, z których snuje się zwykłe życie narodu. Albiedyński — według powszechnego głosu—spraw tych nie targał i nie przecinał, lecz wiązał je i do warunków możliwości przykrawał. A chociażby do grobu poniósł tylko uznanie dobrych chęci i uczciwości, otrzymał najzaszczytniejszy wieniec, jaki na jego stanowisku od obcego społeczeństwa otrzymać można.

DWA BUKIETY POETYCZNE.

I.

Rozum wypędza poezyę,
ale ona go może kochać.
Goethe.

Jak łąka na wiosnę, literatura nasza obsypała się dość rzadkimi u nas kwiatami poezyi. Mówiliśmy niedawno o jednym większym utworze rymowanym i dwu zbiorkach; nie licząc pośledniego ziela, mamy znowu dwa bukiety poetyczne—Konopnickiej *) i Kościelskiego.

P. Konopnicka jest prawdziwą niespodzianką naszego piśmiennictwa. Talent jej nie wykluwał się przed naszemi oczami, nie wzrastał powoli i nie dostał orlich skrzydeł po długim rozwoju, lecz spadł nagle, odrazu niemal dojrzały i do wysokich wzlotów zdolny. W poezyi jej prawie nie ma pierwiosnków, tylko pełne róże, tulipany i narcyzy.

A jakiejże to natury i siły talent? Przed rokiem, mówiąc o pierwszej seryi jej utworów, odpowiedzieliśmy już częściowo na to pytanie. Otrzeźwiający duch wieku nie pozostał bez wpływu na umysł Konopnickiej. Nie chwyta ona wrażeń i nie przerabia ich samem uczuciem, lecz kontury swych obrazów każe kreślić rozumowi. Jej wyobraźnia jest racyonalistyczną. Skutkiem takiego rozjaśnienia widnokręgu pierzchły dziś przed jej oczami mary i cienie, które tłumnie przesuwają się w nocy natchnień, oświeconej zaledwie mrugnięciami drobnych gwiazdek wiedzy, a które wieszczom dawniejszego odlewu urządzają scenę i suflerują. Nie, Konopnicka ani szczerze, ani sztucznie się nie łudzi, nie łudzi się wiarą we wszystkich świętych, ustawicznie zajętych robotą w warsztacie natury, w wszechwiedzące duchy, zdolne do rozwiązywania najtrudniejszych zagadek. Nawet jej porównania częściej szukają barw w astronomii, niż w mitologii. Nie darmo powietrze, którem oddycha poetka, unosi w sobie pierwiastki dokuczliwych wątpień i elektryzujących prawd; przechodzą one do jej płuc — krwi — serca. Myśl, która dawniej w rymach pieściła się z motylami i bzami, dziś osadza je na szpilkach badawczych.

Ale, ostatecznie, jakikolwiek kierunek przybierze uczucie, zawsze pozostanie uczuciem. Z tego też źródła płynie racyonalizm Konopnickiej, która jest poetką rozumującą, ale jest tylko poetką. Wszelkim jej rozwiązaniom filozoficznym lub socyologicznym patronuje nie Minerwa, lecz Apollo.

Chociaż muza jej w kapturze nie chodzi, w Boga jednak wierzy. Ale jak kobieta, umie mu robić pokorne i zręczne wymówki. Raz woła:

O Panie, przebacz mi! Tyś Bóg, Tyś wielki!
Z błysków masz szatę, a z gromów koronę,
A stopy Twoje na słońcu są wsparte!..
Łzy ludzkie, cóż są? Ach, rosy kropelki;
A przecież wszystkie masz je policzone.
Co?.. policzone? — co? — i *nieotarte?*

W innem miejscu powiada:

Ja się nie skarżę!.. Cóż światu pomoże,
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem?..
Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże,
Całej tej nędzy jest — *panem.*

Wspaniałym jest następujący głos rezygnacyi:

Nie płaczcie smutni!
Ach, czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękicie,
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga
Zakłóci spokojność Boga?
Czy wy myślicie, że okrzyk nędzarzy,
W srebrne, przejrzyste rzucony powietrze
Wstrząśnie lazury i blaski z nich zetrze
I ciszę niebios znieważy?
Czy wy myślicie, że łzy te gorące,

*) *Poezye*, serya druga, Warszawa, Gebethner i Wolff.

---

ciel szynela, zawsze pod palcami napotka kieszeń. Jedne z tych kieszeni posiadają wymiary miniaturowe, tak miniaturowe, że pomieści się w nich zaledwie kilka trzygroszniaków, inne za to są po prostu: bezdenne. Powiadają, iż w jednej z tych ostatnich przyniósł raz mały człeczek do domu głowę cukru — ale to już chyba przesada.

Kto jest pan Jan Nepomucen Kopyściński?

Pan Jan Nepomucen Kopyściński jest niczem i wszystkiem. Nie jest on władzą municypalną *in persona*, ani też żadnem tej władzy ramieniem. Podpis jego nie daje waloru najbagatelniejszemu papierowi urzędowemu. Nie jest on mocen podnieść taksy mięsa wołowego o jedną setną część grosza, ani wagi bułek pszennych o jedną setną część zołotnika. Najlichszy wreszcie żydek w miasteczku wie o tem, że przez niego nie zapozna się nigdy z wewnętrznem urządzeniem wieży ratuszowej.

A jednak, bez pana Jana Nepomucena Kopyścińskiego żaden obywatel miasteczka obejść się nie może.

Dlaczego?

* * *

Kiedy, około godziny dziesiątej rano, tłusty burmistrz wchodzi, a raczej wtacza się do kancelaryi, zastaje małego człeczka zajętego już od dwóch godzin zaczernianiem papieru i załatwianiem *swoich* interesów.

Humor burmistrza jest nadzwyczaj zmienny: poznać go zaś łatwo można z pierwszych zaraz słów, z jakiemi zwraca się do kancelisty.

Gdy jest zły, mawia:

— Kopyściński, hultaju! co tu taki swąd?

A gdy dobry, wykrzykuje:

— Jak się masz, Kopystko! a co tam słychać w Ziemi świętej?

Iśmieje się zaraz grubym, dobrodusznym śmiechem:

— Hu, hu, hu, hu, hu!...

Mały człeczek, usłyszawszy o swędzie, tłomaczy się pokornie, że on temu nie winien; na wzmiankę zaś o Ziemi świętej milczy i spuszcza oczy, a większa, niż zwykle żółtość pokrywa mu policzki.

Aby poznać przyczynę tej żółtości, musimy się cofnąć w tył o lat piętnaście.

* * *

W swym czasie Jan Nepomucen Kopyściński zwał się poprostu Chaimkiem i miał bujną, kędzierzawą czuprynę, oraz wcale obiecujący zarost na brodzie i policzkach.

Kręcił się on przy Ratuszu w nieokreślonym charakterze faktora, czy też sługusa, bo czasem biegał po cygara dla pana burmistrza, a czasem znowu podejmował się pośrednictwa w wyrobieniu pasportu.

Ale nie wystarczało mu ani jedno, ani drugie, czuł, że przeznaczony jest do celów wyższych.

Długo rozmyślał nad tymi celami, a rezultatem rozmyślań było to, że się ostrzygł, ogolił i przyjął wiarę katolicką.

Rodzicami chrzestnemi jego byli: pan burmistrz oraz panna Ciapuciewiczówna, osoba bardzo stara, bardzo bogata, bardzo brzydka i bardzo bogobojna, a w dodatku do tego, sparaliżowana i wychodząca z domu raz tylko na tydzień, przy pomocy służącej, do kościoła.

Błogosławieństwo boskie nie dało długo na siebie czekać nawróconemu Chaimkowi, gdyż od chrzestnego papy otrzymał posadkę w Ratuszu i... bury szynel, a od chrzestnej mamy trzysta złotych i... żonę.

Ale i to mu nie wystarczało.

* * *

Pewnego razu przyszedł mały człeczek do swej nowej mamy, i, zgiąwszy się wpół, rzekł:

— Pojutrze odpust w Sadym Krzu... Chciałbym pojechać i duszę pokrzepić, ale nie mam za co... Gdyby to panna Ciapuciewiczówna dobrodziejka wsparła mnie pięcioma złotemi!?...

— Ach! na cel tak piękny — i owszem.

I pięć złotych utonęło w jednej z pomniejszych kieszeni burego szynela.

W miesiąc później nowa wizyta.

— Czy panna Ciapuciewiczówna dobrodziejka słyszała? W tę niedzielę mają poświęcać nowy kościół w Wyszkowie. Pojechałbym, bo tam ma być śliczny obraz świętego Jana Nepomucena, który jest (tu się

Któremi płaczą od wieków tysiące,
Zagaszą słońce i cień wiecznej nocy
Rzucą w oblicze wszechmocy—itd.

Mimo te tony, które harmonię prawowierności rozstrajają, mimo pewne przeniewierzenia się logice teizmu, które do modlitwy wprowadzają domysł, że *„gdyby* (Bóg) *ujrzał"* rozmaite niedole — „to by zapłakał," mimo powątpiewań:

Czyś pierwej był Ty, czy duch ten stęskniony,
Co patrząc w światów gwiazdzistych miliony
W ciche błękitne przestworze
Ogarnion dziwem, i trwogą, i mocą,
Rwał się, jak ptaki, co w skrzydła trzepocą,
I pierwszy zawołał: „Boże!"

mimo to wszystko — powiadamy — Konopnicka Boga „czuje,"

Ale czuje także potrzebę przeniknięcia „srebrnej (?) tajemnicy" i smutna pyta, czy zasłona

...tak na zawsze będzie rozciągniona
Pomiędzy prawdą a ludów sumieniem?

W odpowiedzi na to pytanie i splecione z niem zagadki bytu tkwi rdzeń filozofii Konopnickiej. Widzi ona:

Konającej nocy zgrzyt,
Już chorągiew rubinową
Słońce wznosi na świat stary,
Już się wschód jasnością pali,
To świt!

Ów „świt," rzucający pierwsze promienie w otchłań ciemności jest wiarą, nadzieją i miłością poetki. Ciągle ona zapewnia, że

W mrokach my jeszcze, lecz w górze *już* dnieje.

Łatwo dowieść, że jest to nietylko złudzenie, ale próba ominięcia trudności proroctwa ogólnikowym frazesem. Ani doba obecna nie jest przepaścią „mroków." ani słońce nie wznosi żadnej „chorągwi rubinowej." Ciemność jeszcze zalega wiele dziedzin naszego życia — to prawda, ciągle nowe promienie zapalać się będą — to także prawda, ażeby wszakże miała kiedykolwiek nastąpić chwila wschodu, w której noc się skończy, a dzień zacznie—w to nawet poetycznie uwierzyć trudno. Każda bowiem epoka miała i mieć będzie zarówno swoje mroki, jak świt, nasza pod tym względem żadnego wyjątku nie stanowi. Omyłka stąd pochodzi, że Konopnicka pragnie wypowiedzieć umysłowe i moralne potrzeby swego czasu oraz wskazać im proroczo chwilę uspokojenia, ale owe potrzeby zlewa w ogólnikową tęsknotę, a ich zaspokojenie w również ogólnikową pociechę. Czemu? Czyżby nie rozumiała mar, które na piersiach naszych ciążą? Może jej Muza, widząc w konfesyonałach naszej literatury inkwizytorów, nie chce spowiadać się szczerze, bo by nie otrzymała rozgrzeszenia...

Chociaż szczerszą od rodzeństwa swego z Parnasu jest ona w żalach społecznych, zwłaszcza ludowych. Te pieśni nigdy nie były śpiewane w naszej literaturze tak uroczo, na fujarce pastuszej nikt u nas tak cudownie nie grał. Fujarka ta brzmi często jak zaczarowana. Wprawdzie pewne jej melodye (po poprawieniu się doli ludu) są nieco przedawnione, ale jako utwory artystyczne nie mają sobie równych. Posłuchajmy.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?..
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?
Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...,
Strach by było z tego siewu
Żąć żniwo,
Bo by snopy były krwawe
Na dziwo!..
Przyjdzie słonko, na niebiosy
Wschodzące,
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

W innym wierszu, z tem samem mistrzowstwem formy, śpiewa o gwiazdach, z których jedna wschodzi dla pana ze dworu, druga — dla proboszcza, trzecia — dla organisty.

Wszystkie przed oczyma
Palą się jak zorze
Tylko twojej niema,
Chłopie ty nieboże,

bo — jak ludzie powiadają — gwiazdy chłopskie „w rolę, jak łzy, pospadały."

Gdzieindziej znowu autorka pyta ścieżyny, dokąd prowadzi, że tak porosła zielem i głogami. Ta odpowiada:

Ani ja wiodę w obcą i cudzą
Krainę,
Ni między wrogie, za szumne morze,
Za sine,
Ani ja wiodę między odmieńce
Do boru,
Jeno do onej zapadłej chaty
Ze dworu.

Nie są to natchnienia wyjątkowo szczęśliwe, przeciwnie z pereł tejże wartości składa się cały sznur pieśni ludowych, które stanowią nie tylko najpiękniejszą część zbiorku, ale klejnoty, godne ozdobić koronę wszelkiej literatury. Jest to charakterystycznem, że u nas na lirze poetyckiej po raz pierwszy uderzyła w struny tak istotnie demokratyczne—kobieta. Tę zasługę jej silnie podkreślić należy, zwłaszcza, że wydobyte z nich tony brzmią genialnie. Starsze pokolenia mają u nas poetów żyjących, młodsze dostrojone do swego ducha pieśni słyszą rzadko. Śpiewa im je Konopnicka.

BADANIA EKONOMICZNE.

(Iwaniukow i S. Jevons).

Coraz bardziej uwydatniająca się sprzeczność pomiędzy humanitarnymi ideałami naszej epoki i istniejącymi stosunkami społecznymi, oddawna już zwróciła uwagę myślicieli na nienormalność współczesnego ustroju ekonomicznego. Bezwzględny, me-

---

przeżegnał) moim patronem, z woli najdobrotliwszej (tu pocałował swą mamę w rękę) panny Ciapuciewiczówny dobrodziejki....

— Jedź, moja duszo, jedź! — doradziła z westchnieniem dziewica.

— A jakżo ja mogę jechać, panno Ciapuciewiczówno dobrodziejko, kiedy furmanka do Wyszkowa kosztuje dwadzieścia złotych, a ja wczoraj ostatnie dwa złote wydałem na *Synogarlicę wzdychającą żałośnie na dachu?...*

Więc znowu dwadzieścia złotych spoczęło w skrytkach burego szynela.

Odtąd, co kilka tygodni, wybierał się mały człowieczek w jakąś podróż świątobliwą i brał na koszta od panny Ciapuciewiczównej po kilkanaście i kilkadziesiąt złotówek. Ale nie wyjeżdżał nigdy, Boże uchowaj! Byłoby to najzupełniej przeciwne jego gustom i nawyknieniom; człowiek to był bowiem z gruntu spokojny, zamiłowany w życiu domowo-biurowem i niewychylający nigdy poza miejską rogatkę swego długiego nosa, zakutego w stalowe okulary.

Sparaliżowana staruszka, która teraz nawet do kościoła nie wychodziła, nie była w stanie sprawdzić, czy Kopyściński w sposób właściwy używał jej złotówek. Przytem, uważając nawrócenie jego za własną zasługę, kochała go, jak się kocha własne, udatne dzieło, i pokładała w nim wskutek tego nieograniczone zaufanie.

Mały człeczek, widząc, że mu się tak dobrze udają pomniejsze wycieczki, odważył się na śmielsze przedsięwzięcie i zapytał raz swej matki i opiekunki: co też myśli o tem, żeby on, Jan Nepomucen Kopyściński, w swoim i jej imieniu udał się do Częstochowy, dla oddania hołdu Przenajświętszej Pannie i potarcia o cudowny jej obraz medalików i szkaplerzy?

Dziewica aż klasnęła w dłonie z radości.

— Bóg cię natchnął tak piękną myślą, Janie Nepomucenie. Jedź i powracaj w zdrowiu, a nie zapomnij przywieść mi strzępka z koszulki Matki boskiej i wosku z gromnic, płonących na ołtarzu...

Zapał ten kosztował ją, niestety, aż kilkaset złotych.

— Przez jednostki do dziesiątek, przez dziesiątki do setek, a przez setki dochodzi się do tysięcy — pomyślał Jan Nepomucen i szepnął do siebie, z oczyma zaiskrzonemi:

— A nuż się uda?

Tym razem jednak siedział przez kilka miesięcy jak mysz pod miotłą, czekając cierpliwie na sposobność.

Sposobność znalazła się.

Pewnego razu panna Ciapuciewiczówna, wskutek zbyt surowych postów, ciężko zasłabła.

Środki lekarskie nie pomagały jej i ostatnią nadzieję pokładała w interwencyi boskiej.

Wówczas to wśliznął się do jej mieszkania mały człeczek, i klękając przy łóżku, z oczyma wzniesionemi do nieba, szepnął:

— Panno Ciapuciewiczówno dobrodziejko! miałem sen...

— Ach! — stęknęła chora.

— Śniło mi się, że przyszedł do mnie święty Jan Nepomucen, patron mój najdobrotliwszy, i rzekł: jedna tylko ofiara ocalić może pannę Ciapuciewiczównę dobrodziejkę, a tę ofiarę ty wykonasz, Janie Nepomucenie!

— Och! — stęknięto na łóżku.

— Porzuć żonę twoją słabą, i posadę swoją w Ratuszu i dzieci swoje maleńkie; weź w rękę kij pielgrzymi i idź na klęczkach do Ziemi świętej, do grobu Zbawiciela...

— Gdzieżbyś ty mógł, nieboże!...

— Mogę, panno Ciapuciewiczówno dobrodziejko, a nawet mam już kij przygotowany.

— Ach! — a pieniądze?

— Mam także—brakuje mi tylko jeszcze tysiąc pięćset...

W tej chwili wszedł doktór i rozmowę przerwał.

Ale w tydzień później spragniona cudu dziewica wezwała do siebie małego człeczka, wcisnęła mu do ręki pieniądze i pobłogosławiła w daleką drogę.

Sztuczka się udała, ale była ostatnią.

Wkrótce wszystko się wykryło, a panna Ciapuciewiczówna, wróciwszy do zdrowia, wyparła się swego chrzestnego syna, którego odtąd dowcipnisie miasteczkowi nie zaniedbują dopytywać o nowiny z Ziemi świętej. (D. n.)

tafizyczny systemat szkoły manchesterskiej wobec postępów teoryi rozwoju i filozofii pozytywnej traci zwolna powagę w nauce i ustępuje miejsca opartej na krytycyzmie i posługującej się metodą historyczną szkole realistycznej. W Niemczech ma ona apostołów w t. z. „Katheder-socyalistach,“ inne kraje również coraz szerzej ją szczepią.

Bezstronny i treściwy wykład głównych zasad tej szkoły podaje świeżo na język polski przełożone dzieło prof. Iwaniukowa *). Autor wyjaśnia we wstępie działanie różnych czynników społecznych, pociągających za sobą zmiany w instytucyach, szczególniej zaś podnosi wpływ wywierany na umysły współczesnych przez idee humanitarno-postępowe, uwydatnia znaczenie własności jako głównego czynnika ekonomicznego i słusznie zalicza pojęcie jej do kategoryj historycznych. Pierwszy rozdział zawiera streszczenie teoryi Adama Smitha i jego następców. Teorya ta zrodziła się wśród warunków politycznych, wytwarzających reakcyę przeciw reglamentacyi państwowej. W podstawie jej leżało metafizyczne przypuszczenie, że natura ludzka jest jednakową i niezmienną, i stąd przeważnie wypłynęły główne jej błędy: pojęcie o bezwzględnym, naturalnym ustroju ekonomicznym, przeniesienie zasad gospodarstw prywatnych do sfery gospodarstwa społecznego i logicznie wynikające z tego podniesienie egoizmu do znaczenia zasady naczelnej. Oprócz Smitha przyczynili się znacznie do rozwinięcia tej szkoły Ricardo—teoryą renty i Malthus—prawem o rozmnażaniu ludności. Dziś krytyka z pod tej budowy wyrwała wartość wielu podwalin.

Odpowiadające interesom warstw uprzywilejowanych, hasło liberalne głosiło: stworzenie harmonii społecznej drogą swobodnego rozwoju interesów prywatnych. Ale w praktyce teorya wolnego współzawodnictwa zrodziła monopol silnych, pozostawiając masom zupełną wolność... umierania z głodu. Z początkiem bieżącego stulecia zaczęła się przeciw niej reakcya krytycyzmu we Francyi i kierunku historycznego w Niemczech. Nowa szkoła, zwana realistyczną, odrzuca zasadę niezmienności organizacyj gospodarczych, rozszerza pojęcie nauki, wykazując zależność stosunków ekonomicznych od moralnych, prawnych i politycznych, wreszcie przyznaje a nawet żąda interwencyi państwa w dziedzinie ekonomicznej. Metoda dedukcyjna — którą posługiwali się zwolennicy Smitha — nie odpowiada również jej poglądom. Znamienną cechą kierunku realistycznego jest przyjęcie za główny cel nie rozwoju produkcyi, lecz możliwie sprawiedliwego podziału bogactw. Zgadza się ona z socyalizmem w poglądach na przyczyny i warunki obecnie istniejącego ustroju kapitalistycznego, ale stanowczo oświadcza się przeciw socyalizmowi rewolucyjnemu. Poglądy Marxa i jego wyznawców, są logicznym wnioskiem, wyprowadzonym z faktów organizacyi obecnej, opartej na zasadach wolnego współubiegania się, ale droga rozwoju ekonomicznego zmieniona być może przez prawa przeciwdziałające skupianiu środków produkcyi. Główna wszakże różnica dwu tych kierunków w nauce polega na tem, że socyaliści utrzymują, iż społeczeństwa dążą do takiej postaci ekonomicznej, która zmieni z gruntu formę kapitału prywatnego i uczyni go zbiorowym (kolektywnym), realiści zaś sądzą, że jest to zbyt szczegółowe i niczem nieuzasadnione określenie przyszłych stosunków, chociaż nie uważają takiego wypadku za niemożliwy.

Nie będziemy streszczać znanych zasad organizacyi socyalistycznej, nadmienimy tylko, że autor broni ją od wielu nienaukowych zarzutów i powstaje przeciw utożsamianiu jej — jako zasady naukowej — z poglądami i dążeniami demokracyi socyalnej, będącej partyą polityczną.

Ustrój ekonomiczny, według programu szkoły realistycznej, zajmuje miejsce pośrednie i opiera się na trzech systematach: gospodarstwa prywatnego, zbiorowo-społecznego i dobroczynności publicznej. Charakter i granice systemu gospodarczo-społecznego określają się przez obowiązujące przepisy prawne: o stanowisku osób, o posiadaniu i własności, o spadkach i t. p. W systemie zaś gospodarstwa zbiorowo-społecznego odróżniać należy: przymusowe i dobrowolne — pierwsze czerpie swe materyalne środki z podatków. Co się tyczy skojarzenia tych trzech systematów, to szkoła realistyczna twierdzi, że bezwzględnie prawdziwej, naturalnej kombinacyi nie ma, i być nie może, jest ona zawsze zależną od natury ludzkiej i układu państwowego.

Główny zarzut, jaki zrobić można p. Iwaniukowowi tkwi w tem, że postanowiwszy skreślić historyczny rozwój teoryj ekonomicznych, za mało uwzględnił znaczenie kierunku krytycznego we Francyi i pierwszej szkoły historycznej niemieckiej. Bardziej szczegółowy rozbiór tych gałęzi wykazałby najdokładniej różnice między socyalizmem współczesnym, którego ojcem był krytycyzm, a powstałą z kierunku historycznego—szkołą realną. Możnaby także wiele powiedzieć przeciw zdaniu, że rozwój ludzkości odbywa się tylko drogą stopniowych reform i układów, nieraz bowiem to, co po upływie wieków wydaje nam się wynikiem organicznego rozwoju, było wprost skutkiem jakiegoś wielkiego i nagłego przewrotu. Ale to już dotyka zasad szkoły realistycznej, a nie wykładu autora, który pragnął widocznie przedstawić tylko objektywnie główne zasady nowych teoryj ekonomicznych.

Nie mało ujmuje wartości dziełu przekład, najeżony gęsto rusycyzmami (np. włościanie zostali *nadzieleni* ziemią; *rody* (zam. poród), *progresyjny*, *jurydyczny*, *zatrata* (nakład) pracy i t p.)

Jednocześnie przybyła nam druga z tej dziedziny tłomaczona praca S. Jevonsa *). Radziłbym każdemu, kto zechce poznać to dziełko, przeczytać później książkę prof. Iwaniukowa. Stanley Jevons, zdeklarowany zwolennik szkoły manchesterskiej, jasno i treściwie wykłada zasady systemu wolnej konkurencyi. Wbrew twierdzeniu korespondenta *Kraju*, który zaliczył go do przedstawicieli nowego kierunku, nadmieniam, że autor ten jest raczej krańcowym manchesterczykiem, posuwającym abstrakcyjne doktrynerstwo aż do bezdusznej suchości, do zupełnego zaniku uczuć etycznych. W Anglii, podobno, książka ta używaną jest jako podręcznik w niektórych szkołach, autor jej znanym był jako powaga w sprawach waluty monetarnej, ale trudno pojąć, dlaczego nakładcy ją wybrali, tem więcej, że nie odpowiada ściśle programowi wydawnictwa, mającego na celu rozbiór współczesnych zagadnień filozoficzno-naukowych i zaznaczającego wyraźnie kierunek postępowo-demokratyczny. Szkoda doprawdy czasu i atłasu, tem więcej, że przekład jest sumienny i zdradza dokładną znajomość terminologii. Książka przecież nie pozostanie bez pożytku; ci, co pragną obznajmić się z zasadami liberalnej szkoły ekonomicznej, najprędzej osiągną ten cel za pomocą dziełka Jevonsa, odznaczającego się jasnością i przystępnością wykładu; ale nasza literatura ekonomiczna jest zbyt ubogą, ażeby mogła tracić zasoby na takie sparciałe nowalie.

J. L. P.

* *Główne zasady teoryi polityki ekonomicznej*, nakładem studentów Instytutu Agronomicznego w Nowej Aleksandryi. Warszawa.

*) *Ekonomia polityczna*, Wydawnictwo redakcyi *Wędrowca*. Warszawa.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 4 czerwca.

Comedia dell'arte. — Wynik wyborów do *Schlachcicenparlamentu.* — Idylla. — Ogólny wynik. — Demoralizacya. — Taksa Länderbanku. — Rozpaczliwa rada. — B. Kowalski i Iskrzycki. — Wybory z miast i kuryi większych posiadłości.

Finità la comedia! Wybory do *Schlachcicen-parlamentu*, dokonane już prawie zupełnie, udały się świetnie. Wypadły przecież całkowicie po myśli centralnego Komitetu wyborczego a chyba ten ostatni nie byłby jedyną naszą prawowitą reprezentacyą podczas bezkrólewia sejmowego, gdybyśmy spełnionych życzeń jego nie witali z taką radością, z jaką przyjęła je prasa galicyjska, urzędowa jego rzeczniczka. Robi ona wprawdzie małe fochy, ale tylko dla tego, że ten lub ów gagatek padł w walce z innym gagatkiem; niech nikt nie przypuszcza, jakoby smucił ją ogólny rezultat wyborów!...

Rezultat ów jest tak świetny, że nawet *Gazeta narodowa* czuje się zadowoloną. *Gente Rutheni* redaktorzy tego pisma doznawać muszą niemałego uczucia rozkoszy na myśl, że w obecnej kadencyi sejmowej porządek dzienny nie zostanie już ani razu zakłócony jakąś niewczesną interpelacyą w sprawie grabieży bazyliańskiego Dobromila, albo rozrzutności grosza publicznego na cele jezuicko-zmartwychstańskiej propagandy. A! cieszcie się panowie, wszak święcicie dziś tryumf, jakiegoście nie odnieśli nigdy jeszcze dotychczas w ciągu całych 111 lat austryackiego panowania w Galicyi!

Zanim wysnuję dalsze wnioski i uwagi z wyniku wyborów, odsłonić muszę wpierw nagość liczbowej jego postaci. Wiedz zatem czytelniku, że lud ruski przyszedł wreszcie „do samowiedzy politycznej,“ zrozumiał, kto jest jego „prawdziwym przyjacielem“ i stanowczo porzucił swoich „dotychczasowych prowodyrów“ a zwrócił się natomiast „z całą ufnością do dworu, do którego ucieka się w każdej potrzebie.“ Słowem na 48 przedstawicieli wybrał zaledwie 9 dawniejszych owczarzów albo ich zwolenników, po resztę zaś udał się do dworu, gdzie, jeżeli nie zawsze, to przynajmniej podczas wyborów zaspokoić może wszystkie swoje żołądkowe i podniebienne potrzeby. Biednego chłopka nie odpędzono i tym razem od bramy podwórza. Poczciwi szlachcice podjęli się chętnie ciężkiego obowiązku reprezentowania ludu w sejmie, zwłaszcza, że poczciwsze od nich żony przyrzekły pourywać im głowy, w razie, jeżeliby się choć na chwilę wahali to uczynić.

I z wyjątkiem owych dziewięciu demagogów wybrano samych tylko ziemian. No, są to naturalnie tylko *bene* a przynajmniej *possessionati* — innych przecie w tej sferze niema: reszta robotników — to w czasie wyborów *bracia wieśniacy*, po wyborach — *chłopi*, a w urzędowych aktach władz autonomicznych — włościanie.

Nie inaczej wypadły wybory i na Mazurach, z tą chyba tylko różnicą, że tam wydobyto jeszcze więcej starostów, niż u nas na Rusi. I tam z mętnej wody kandydackiej powypływała na wierzch szlachta przeważnie. W sumie: na 74 mandatów z grupy wyborczej gmin wiejskich zaledwie może 10 krzeseł dostało się polakom postępowcom, 9 rusinom (bez wyjątku demokraci), resztę tę zaś po odtrąceniu 11, które starostowie zdobyli żandarmskimi bagnetami, opanowali konserwatywni właściciele większych posiadłości.

Ze smutkiem prawdziwym zmuszeni jesteśmy nadmienić, że zwycięstwo szlachty jest w znacznej bardzo części owocem przekupstwa i nacisku zarówno władz autonomicznych, jak i rządowych. Nadu-

cia były w wielu miejscach niesłychane. Jeżeli kandydował starosta, pomagali mu żandarmi — inni posługiwali się pieniędzmi. Wartość pojedynczych głosów doszła do wysokości 500 guldenów. No, nie wszędzie płacono tak dobrze! Tylko niewyczerpana na najrozmaitsze cele kasa *Länderbanku* mogła asygnować takie sumy na zakupienie dostatecznej ilości uwielbień, dla hr. Stadnickiego...

Było jednak kilka okręgów, w których wybory odbyły się prawdziwie idylicznie. Najpiękniejszy przykład obywatelskiej uczciwości zarówno kandydatów, jak i wyborców, dał okręg Żółkiew-Kulików-Mosty wielkie, na który z polskiej strony postawiony był adjunkt sądowy p. Bojomir Żarski, z polecenia zaś ruskiego Komitetu centralnego również adjunkt sądowy, p. Leniński. Obaj kandydaci znajdowali się na miejscu, ale najmniejszego nie brali udziału w ruchu wyborczym. Wziąwszy się pod ręce, przez cały czas spacerowali opodal, wyczekując spokojnie przechylenia się szali zwycięstwa na jedną albo drugą stronę. Ponieważ nie było żadnego nacisku z góry, ani też głosów nie kupowano, wybór odbył się jaknajspokojniej a mandat poselski otrzymał p. Leniński. Takich jednak okręgów było niewiele!..

Rezultat ogólny wpłynął na rusinów nadzwyczaj przygnębiająco. W najgorszym razie spodziewali się osięgnąć przynajmniej 15 mandatów, to jest ilość konieczną do możności stawiania w sejmie wniosków albo interpelacyj. Uzyskanych 9 krzeseł nie przedstawia też dla nich najmniejszej wartości, bo przedewszystkiem nie będą mogli czynić z powyższego prawa użytku, powtóre zaś zbyt mała liczba ich posłów nie będzie prawdopodobnie nigdy braną w rachubę, choćby konstelacya stronnictw sejmowych najbardziej niespodziewane przybrała kształty. Obóz konserwatywny wyszedł tak zwycięsko, że choćby postępowcy zechcieli szczerze podać rękę rusinom, zbyt jeszcze słaba byłaby to siła do przebicia wstecznej falangi.

Odzywają się też wskutek tego w prasie ruskiej głosy za bezrobociem sejmowem, za zupełnem usunięciem się od posiedzeń, podobnie jak to robili przez czas dłuższy posłowie czescy do wiedeńskiej Rady państwa. Pomysłowi temu nie można odmówić pewnej racyi, chociaż, przynajmniej na tegorocznej sesyi, powinniby zasiąść ruscy posłowie w sejmie i pracować z mniej szowinistycznymi oboju przeciwnego żywiołami nad obmyśleniem sposobu, zapewniającego im możność brania inicyatywy w czynnościach sejmu. Powinni to zaś uczynić tem bardziej, że z pewnych Kół polskich stanowczo zapowiadają, iż tego roku jeszcze jeden z nowowybranych posłów, znany ze swoich ugodowych względem rusinów tendencyj, postawi sprawę ugody z nimi na porządku dziennym sejmu. Nieobecność tych ostatnich byłaby dla nich samych fatalną.

Co do wyznania politycznego posłów ruskich, to tylko jeden należy do stronnictwa świętojurców. Jest nim stary weteran parlamentarny, hofrat Bazyli Kowalski, który zresztą więcej jest *rutheńcem*, niż rusofilem, *mehr oesterreichisch als russisch*. Jest to najdawniejsza gwardya ruska; początek jej datuje się jeszcze z czasów Stadyona, zwolna już jednak gaśnie i w niedługim czasie zniknie z widnokręgu.

Pozostali (ośmiu) są wszyscy ukraińcami czystej wody, z wyjątkiem jednego może tylko dra Iskrzyckiego, adwokata z Sanoka, który zeszłego roku był obrońcą kilku oskarżonych w procesie Olgi Hrabarowej. Postawa jego polityczna jest w każdym razie gładka—nie zdradził się podobno wcale jako zdecydowany świętojurca, ale też i ukrainofilstwa nie zaznaczył dotychczas nigdy wyraźnie, wskutek czego, wstępu czy wyjścia z jednego albo drugiego obozu wcale nie ma utrudnionego.

Na zakończenie, jakkolwiek nie leży to w zakresie tej rubryki, donoszę o wyniku wyborów z miast i izb handlowo-przemysłowych. Kurya ta posyła 23 deputatów do sejmu a dostarcza mu zawsze żywiołów najwięcej postępowych i najruchliwszych. Barwy tej nie utracą one i teraz, zwłaszcza że tylko cztery nowe osobistości tym razem weszły.

Wybory wreszcie z Izb pańskich, czy tam z kuryi większych posiadłości, nie odbyły się jeszcze dotychczas. Wynik ich nie jest jednak wcale maską tajemnicy osłonięty...

Nalewajko.

NATURALIZM POWIEŚCIOWY
wobec
„ANARCHII WARSZAWSKIEJ.“

(Dokończenie).

Zarówno w osobnikach, jaki w grupach— narodowych, społeczno-politycznych, lub w sumie tych grup, t. j. w ludzkości przemiany wszelkiego rozwoju nigdy równomiernie odbywać się nie mogą. Istnieją jednostki i całe warstwy, które spóźniły się w postępie. Gleba tych umysłów, na równi z innymi uprawiana jednym i tym samym pługiem nauki i ogrzewana słońcem ogólno-ludzkiej, a więc wspólnej cywilizacyi, nie wyda pożądanych, doskonalszych owoców. Dziecinnie jednak, nienaukowo postępują ci, którzy, już nie powiem z pogardą — ale z lekceważeniem patrzą na te pokłady społeczne, gdyż, bądź co bądź, trzeba je uważać za takie, które mogą dojść w następnych pokoleniach do tego stanu rozwinięcia, w jakiem się znajdują współczesne im ustroje wyższe.

Otóż tak zwany obóz idealistów uważam nie tyle za przeżyty, ile niedożyty, mający spełnić misyę regeneracyjną, o ile nie wpadł w stan niemocy. Ponieważ on przechodzi epokę młodzieńczości, nic więc dziwnego, że źle zrozumiany przez jego rzeszę dojrzalszy kierunek pozytywny przedstawiany bywa w zupełnie fałszywem świetle.

W obozie idealistów, fanatycznie trzymających się swego sztandaru, jest wielka liczba takich, którym prześwita w pewien niedowarzony sposób słonko pozytywizmu. Nie wiedzą też często, którą drogę wybrać: czy idealną, czy pozytywną. Wykluczam tu naturalnie wszelką prywatę, której zależy na schlebianiu zarówno jednej, jak i drugiej stronie — mówimy o poglądach szczerych, choć chwiejnych.

Jak wobec apostołów idealizmu i ich wyznawców, pojęcie o wielkim angielskim filozofie-przyrodniku łączy się ściśle z postacią małpiego rodu, tak znowu samo nazwisko Zoli rozszerza dokoła siebie w ich ustach woń skwaszonych wyziewów szynkowni, ciągnie za sobą zgniłe ciała publicznych kobiet, o twarzach wykrzywionych bezmyślnym śmiechem niczem nieskruszonej rozpusty, wstrętem przejmującą, brudną rynsztokową gwarę, której odgłos nietylko rumieńcem wstydu zalewa oblicze niewinnego dziewczęcia, ale nawet wprawia w kłopot tych, co otarli się już o niejeden obraz moralnego upadku człowieka.

Poglądy takie zaliczyć muszę do rzędu (skądinąd mi najdroższych) narodowych, do swojskich, które jednak w tym wypadku noszą na sobie znamię płytkości i partykularnego ograniczenia.

Od krytyka wymagamy najprzód dokładnego zrozumienia utworu, celu, w jakim został napisany, dalej umiejętnego przedstawienia go czytelnikowi a w następstwie przedmiotowej oceny jego wad i przymiotów. Otóż tej garstki drobnych warunków większość naszych surowych Arystarchów nie posiada. Zola mozolił się, szperał, szukał, badał istoty, które miał później przedstawić w sukience beletrystycznej, wchodził w towarzystwa, któremi—sądząc z prawdziwie skromnego, zacisznego jego życia — gardzi. Brnął po błocie społecznem, nawąchał się jego wyziewów nie dla własnej przyjemności, lecz dla dokładnego poznania owych tętnic organizmu społecznego, któremi płynie nie krew purpurowa, świeżo wytryśnięta z aorty, lecz zużyta, wyczerpana, niemogąca najczęściej nawet dojść do filtru płucnego, gdzie pod ożywczem tchnieniem powietrza się odradza. Słowem Zola czynił to, co każdy sumienny badacz czynić powinien, a czynił dla sztuki, dla ogółu—tymczasem areopag warszawskiej „poczytniejszej“ krytyki, popieranej zagranicznemi echami tegoż obozu, albo go pomija, albo bezcześci.

Zola nie chce moralizować, zostawia on tę rolę księżom na ambonie dla ludu, a nauczycielom dla niedorostków. On jest pisarzem wieku dojrzałego, nie tragikomicznym bohaterem Cerwantesa; jest psychologiem, który swe obrazy opiera na danych fizyologicznych, a zbadawszy przedmiot dokładnie, ukazuje kartę swych odkryć szerokiemu ogółowi i powiada: „Ani wy mi nie bierzcie za złe, żem tak napisał, ani też ja nie myślę się na was gniewać, jeżeli macie zamiar oburzać się na mnie; bo tylko świat winien temu, że jest takim a nie innym, jakim go względnie do mych zdolności pochwyciłem i odfotografowałem.“

O przywary „nieprzyzwoitości“ w literaturze wolno posądzać tylko takich autorów, którzy dla pustego efektu lub naładowania worka nagromadzają pewien szereg drastycznych położeń, nieraz wyszukanych nawet ze względnym talentem, i na nich rozwieszają swą bajkę powieściową. Obrazy Zoli nie są wytworem jego fantazyi, ani też dorywczo pochwyconym momentem z natury, lecz płodami z krwi i kości. I pesymizm jego jest objawem naturalnym. Kto chce malować ludzi takimi, jakimi są, musi większość ich wyobrazić złą, zacofaną, głupią, nieukształconą—słowem ujemną, gdyż taką jest w rzeczywistości.

Zola nie z upodobaniem wybierał tematy do swych jaskrawych utworów powieściowych. Główny rys jego wielkiego talentu, konsekwentny naturalizm—wszędzie jedno i toż same wychyla oblicze. Czy rzucimy okiem na drobniejsze prace, które poprzedziły *Assomoir*, czy na te, które później nastąpiły, czy na to, co ujrzało światło dzienne przed *Naną* lub *Pot-Bouillem*—żywo wszędzie przedstawia nam się prawda jego tonów, która może tylko w miarę dojrzewania talentu zlewa się w jeszcze bardziej dobraną harmonię barw.

Słyszałem nieraz sądy przeciwników jaskrawszej strony kierunku Zoli, streszczające się w ten sposób: „Nie można powiedzieć, żeby nie miał talentu; prawda tryska z jego utworów, ale dla czego porusza wstrętne kwestye, które zatruwają swym oddechem czystą atmosferę naszego rodzinnego koła?“

Najprzód, jeżeli zajrzymy bezstronnie w ową „czystą atmosferę naszych kół rodzinnych,“ znajdziemy, że ona nie jest tak idealnie czystą, jak się z ulicy przez umyte nawet szyby przedstawia. Powtóre, jak i najidealniejsza nawet sztuka wogóle musi posiłkować się naturą, tak też najnaturalniejsza natura musi się dostać w odpowiednie ramki artyzmu, ażeby dać nam zupełnie jasne o sobie pojęcie. Spotykamy często najromantyczniejsze przygody w życiu: pojedynki, otrucia, topienia się, ucieczki przy blasku księżyca i wiele innych wybryków miłosnej pomysłowości, lub mniej romantyczne: kradzieże, morderstwa całych rodzin i tym podobne

fakty, które nam codzień gazety przynoszą jako stwierdzone urzędową pieczęcią policyi; mimo to jeżelibyśmy ujrzeli skupienie tych szaleństw i morderczych kombinacyj w powieści lub dramacie, wydałyby się one nam nieprawdopodobnemi, sztucznemi, naciągniętemi. Otóż te objawy patologiczne, jakoteż zgniłe odpadki, ujawniające się obok zdrowego rozwoju naszej epoki, której pozytywny, lecz zarazem gorzki powiew ma miarkować żywioły mniej lub więcej rozkładowe — jeżeli nie zostaną w swych nieraz niepowiązanych ściśle kombinacyach wykończone retuszem artyzmu, przejdą nie tylko dla nas, ale i dla naszych następców, dla których będą sprawą przeszłości, albo zupełnie niespostrzeżone, albo nagrodzone uśmiechem powątpiewania. To więc, co by umknęło z dziejów społecznych niedojrzane, niepoznane przez „nasze czyste koła rodzinne“ — chwyta na artystyczną wędkę Zola, a tam, gdzie konsekwencya natury nie jest pochwytną dla naszego przelotnego spojrzenia i mogłaby błędne dać o sobie pojęcie w ramach suchego socyologicznego referatu, wobec mistrzowskiego ugrupowania objaśniających faktów i scen umiejętnie dopasowanych przez powieściopisarza — staje się dla nas zupełnie zrozumiałą.

Że osławiona trójca powieściowa jego budzi w wielu wstręt, można to objaśnić samą odrazą, często niedość uzasadnioną, jaką żywimy w życiu codziennem dla sfer i osób przewijających się właśnie na kanwie *Assomoir'u*, *Nany* i *Pot-Bouille'u*. Większość nie zna tych sfer tak dokładnie, jak je Zola w najdrobniejszych, subtelnych przejawach charakteryzuje; dla tego też niespodziewane widoki tem bardziej odstraszają.

W trzech przytoczonych powieściach Zola przedstawia cały rozkładowy proces w łonie Francyi pod rządami drugiego cesarstwa, które też w nieubłaganej konieczności haniebnie złożyło głowę pod murami Sedanu.

Dla płytkiego czytelnika lekcya podobnych literackich utworów nietylko nie przynosi korzyści, ale sprowadza nadto szkodę. Ograniczony umysł nie jest w stanie objąć fizyologicznej i społecznej prawidłowości oraz przewodniej myśli autora. Czepia on się zaledwie pojedynczych fakcików i scenek drażniących. Są to umysły wyniańczone na skocznej muzyczce walców i polek, większe zaś zagadnienia symfonicznej natury pozostają dla nich niezrozumiałe — nieledwie zamęt budzące.

Niesłusznie czynią ci, którzy owe powieści Zoli zamieszczają w szyldzie jego kierunku. Kierunkiem jego w literaturze jest naturalizm wszechstronny, a że między licznymi tematami znajdują się także *Nany* i im podobne, uważam to za bardzo prosty objaw szerokiego, prawdziwego talentu, który przed najwstrętniejszym nawet materyałem się nie cofa, wierząc, że ujmie go w prawdziwą formę niekłamanego artyzmu.

Zola szkoły nie stworzył, albowiem garstka miernot, która zwłaszcza w swoim czasie celowo i jedynie porwała się do tematów drastycznych, chcąc wskutek tego nabrać popularności i podzielić się sławą z mistrzem, dowiodła, że go nie pojmuje. To nie są Zoliści — to są Assomoirzyści, Naniści i t. p., lwy wypchane, bez lwiej siły i życia.

Z ostatnich prac jego *Au bonheur des dames* daje ponowny*) dowód nieprzyjaznym mu krytykom, że temat jest dlań rzeczą obojętną, gdyż z każdym we właściwy sobie sposób rozprawić się umie. A jeżeli kto sądzi, że Zola „przerzucił się“ ten jest w błędzie i daje tylko dowód nieznajomości tego człowieka.

Jak to już wyżej powiedziałem, Zola nie jest i nie chce być moralizatorem, idzie mu tylko o dokładne przedstawienie tego, co znalazł w organizmie społecznym. Anatomowie i fizyologowie dla dokładnego poznania i wyjaśnienia budowy i funkcyj całego ustroju, nietylko badają składowe części i funkcye mózgu i serca, ale odrzuciwszy białe rękawiczki przesądu, rozpoznają i te części, te organa, które w pojęciu profanów mogą uchodzić za mniej szlachetne. Tak robi Zola, i nieprawdą jest, ażeby się lubował wyłącznie w dotykaniu rzeczy drażniących a sprośnych.

J. Freudensohn.

*) Z większych poprzednich jego utworów o tematach *spokojnych* przytoczę: *Une page d' amour*, *La faute de l' abbé Mouret* i *La conquette de Plassans*.

Przyznając słuszność twierdzeniom i wywodom autora, o ile one dotyczą zachowania się „anarchii warszawskiej“ względem naturalizmu, musimy zaznaczyć pewną odmianę naszego sądu o Zoli. Przedewszystkiem autor francuzki popełnia błąd swoich przeciwników: odmawia racyi bytu, artyzmu i pożytku wszystkim innym rodzajom twórczości, z jego metodą niezgodnym. Postępuje on tak w powieści, jak Kalwin w religii: żąda swobody i staje się odszczepieńcem a innych odszczepieńców na stosie pali. W swoich traktatach i przepisach prawodawczych dla sztuki rozumuje na podobieństwo słonia, który drwi ze wszystkich zwierząt, nieposiadających trąby. Tymczasem ścisła krytyka może się posunąć tylko do *równouprawnienia* każdego nowego gatunku z innymi.

Powtóre Zola łudzi się co do swego naturalizmu. Jego utwory są niewątpliwie bardziej zbliżone do rzeczywistości, niż idealistyczne, ale dokładnem jej odbiciem nie są dla tego, że przedstawiają tylko pewne chwile i wypadki z życia bohaterów, oderwane od ogniw pośrednich. Jeżeli eksperimentator (z którym Zola lubi się porównywać) wykazuje działanie pewnego środka na organizm ludzki, to bada zmiany w najdrobniejszych działkach czasu. Tymczasem powieściopisarz uczynić tego nie może, gdyż na samą analizę psychologiczną jednego bohatera w ciągu jednego dnia musiałby poświęcić cały tom i—zanudził czytelnika.

Potrzecie, Zola nie dostrzega, że materyały, używane do dzieła sztuki, posiadają skalę rozmaitej wartości, że dwa posągi z gliny i z marmuru, chociażby je wyrzeźbiła ta sama ręka — nie będą posiadały równej wartości. Podobne stopniowanie zachodzi w treści wewnętrznej. Wieśniaczka, polująca na głowie dziecka, nie może w nas budzić uczuć takich, jak Niobe, opłakująca dzieci. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Zola nie zaprawia swych obrazów błotem dla skandalu, ale też nie powinien wymagać, ażeby wszyscy znajdowali w tem błocie przyjemność. Są ludzie, którym nerwy pozwalają siedzieć nad padliną dla obserwowania procesu gnicia, ale są tacy, którzy by przy tem badaniu zemdleli. Jeżeli ktoś nie znosi wymysłów w życiu, jakże Zola może wymagać od niego, ażeby je znosił w powieści? Tu prawo uczuć ludzkich musi być zachowane. Pomijając sztuczną pruderyę, istnieje olbrzymia masa umysłów, w których odraza do prosektoryów, szpitalów, karczem, domów rozpusty i t. d. a więc i do malującego takie obrazy naturalizmu jest szczerą, niczem nieprzezwyciężoną. Może kiedyś zmienimy się, może nam nerwy stępieją, dziś one są wrażliwe, a Zola ich nie przerobi. Że on posiada zupełne, bo nawet artystyczne prawo odbijania tych objawów życia, które na niego szczególnie działają – to sprawa całkiem inna. Nie ma tak drażliwego widoku, któryby nie przeniósł się do malarstwa lub rzeźby — dlaczegóż by więc powieść miała tu być ograniczoną?

Redakcya.

WSPÓŁCZESNY RUCH RELIGIJNY
w zachodniej Europie.

IV.

W Szwajcaryi starokatolicyzm silną zdobył sobie podstawę przy współudziale duchownych: Herzoga Egli i Geschwinda, ekskomunikowanych przez biskupa z Bazylei. Od 1874 r. istnieje przy uniwersytecie w Bernie wydział teologiczny starokatolicki. W r. 1877 r. dr. Edward Herzog wybrany został biskupem Szwajcaryi i przez Reinkensa zatwierdzony. Szwajcarya liczyła wówczas około 75,000 starokatolików.

Najsłabiej przejawia się ruch starokatolicki we Francyi, Włoszech i Austryi. W r. 1872 uformowały się niezależne od Rzymu gminy w Wiedniu i Konstantynopolu. W r. 1877 Austrya liczyła 35,000 Holandya — 8,000, Włochy — 11,200 starokatolików i swego oddzielnego biskupa.

Główny apostoł starokatolicyzmu we Francyi, ojciec Hyacynt (Karol Loyson), urodził się w 1827 r. w Orleanie. Wyświęcony w 1851 r., został w trzy lata później nauczycielem dogmatyki w Avignon, a później w Nantes, gdzie śmiało potępiał nadużycia kościelne. W r. 1860 wstąpił do dominikanów, później do karmelitów w Lyonie; od 1865 do 1867 r. był kaznodzieją przy kościele Notre-Dame, a w r. 1869 wystąpił z klasztoru. Wskutek sławnych kazań przeciw dążeniom ultramontańskim i jezuickim, wskutek oświadczenia na międzynarodowym kongresie pokoju, iż katolicyzm, protestantyzm i judaizm są religiami ucywilizowanych narodów, został ekskomunikowany, poczem udał się do do Ameryki. Po powrocie napisał w 1871 r. list do biskupów francuskich, w których wzywa ich, ażeby przystąpili do reformy kościoła. Po przyjęciu udziału w kongresie starokatolickim, (1872), udał się do Londynu, gdzie poślubił Emilią James Butterfield, amerykankę, którą sam do katolicyzmu nawrócił. Następnie przybył do Genewy i tu pełnił obowiązki proboszcza starokatolickiej gminy genewskiej do 1874 r. poczem wyjechał do Paryża, gdzie w r. 1879 założył kościół galikańsko-katolicki.

Rzymski katolicyzm we Francyi zaczyna w ostatnich czasach nowy przybierać kierunek. Pewność, z jaką wierzono w odbudowanie państwa kościelnego i tryumf papiestwa, zawiodła pomimo wszelkich cudownych przepowiedni. *Civilta* (15 maja 1872 r.), przepowiadając bliskie zwycięstwo kościoła i papiestwa, twierdziła, iż sam Chrystus następne wyrzekł słowa do francuskiej zakonnicy Maryi Lataste: „Rzym około trzech lat zdawać się będzie poddanym; wtedy matka moja zstąpi do tego miasta, ujmie rękę poważnego, na tronie siedzącego starca i rzeknie doń: „„Godzina nadeszła, by zniszczyć wszystkich twych wrogów. Tyś mnie uczcił w niebie i na ziemi (przez dogmat Niepokalanego poczęcia), teraz ja chcę cię uczcić w niebie i na ziemi.““ Wtedy pokój świecki zostanie przywrócony i wszystkie narody Maryę wysławiać będą.“ Od 20 września 1870 r. więcej jednak upłynęło, niż trzy lata. Nadzieje znikały, a Rzeczpospolita francuska wzmacniała się ciągle. Potrzeba więc było zastosować się do nowego stanu rzeczy i zawrzeć układ z nienawistną respubliką. Ciekawe to zjawisko spostrzegamy i w r. 1848. Jak wtedy o. Lacordaire, tak obecnie o. Didon jest ducho-

wnym bojownikiem nowego ruchu. Za nim poszli inni wysocy prałaci, jak arcybiskup Guilbert, dowodzący w *Republicain catholique*, iż kościół stoi po za wszelkiemi partyami i tak samo żyć będzie w zgodzie z respubliką i z monarchią. Podobnie głoszą inni. Tymczasem zasady rządu respubliki stoją w sprzeczności z doktrynami Sylabusa. Niema ani jednego kraju w Europie, ani jednego rządu, któryby zgodził się z większością jego zdań zasadniczych. Leon XIII, widząc niepowodzenie swego fanatycznego poprzednika, który chciał zerwać z duchem czasu i oprzeć się wyłącznie na tradycyi średniowiecznej, zmienił taktykę polityczną, nie naruszając zasad i nieusuwając celów rzymskiego kościoła. Religia nie jest związaną z żadną partyą polityczną; można być więc jednocześnie republikaninem i katolikiem. Kościół, wypróbowawszy bezskutecznie wszelkie środki, ażeby obalić Rzeczpospolitą i przywrócić monarchię legitymistów, lub przynajmniej cesarstwo, przekonał się, iż w tej grze może za dużo stracić. W wydanej przed dwoma laty encyklice Leon XIII zaleca dzieła św. Tomasza z Akwinu, jako źródło dla filozoficzno-religijnych wykładów w wyższych seminaryach katolickich. Wydanie tej encykliki było pierwszym krokiem ze strony papieża do pojednania się z rządem francuskim; według Tomasza bowiem, respublika podobnie jak i arystokracya jest formą rządu zupełnie prawną, jeśli tylko prowadzi ku powszechnemu dobru. Papież zgadza się nawet, w liście do arcybiskupa, na zastosowanie pewnych dekretów w sprawie zabronionych prawnie kongregacyj religijnych; chciałby on jednak skorzystać z obecnych rozruchów, ażeby przywrócić kościołowi katolickiemu dawny wpływ i dawną potęgę. „Najwięksi nieprzyjaciele religii we Francyi — mówił Pius IX — nie są heretycy, ani komuniści paryscy, lecz katolicy liberalni.“ Leon XIII dowodzi, iż radykalizm zagraża całości wszelkich urządzeń społecznych i doprowadzić może społeczeństwo do pierwotnego stanu. „Dzisiejszemu społeczeństwu brak silnego, niewzruszonego bastyonu prawdy, a ten odnaleźć można jedynie w rzymsko-katolickim kościele — powiada jezuita Wiktor Kathrein*). Religia i moralność winny pozostawać pod wyłączną pieczą kościoła, państwo zaś ma obowiązek dopomagania mu w tym względzie.“ Nie przemawia to jednak do przekonania rządów. „Skargi Watykanu — powiedział minister sprawiedliwości Zanardelli w parlamencie włoskim — są wyrazem tęsknoty za powrotem przeszłości minionej, która niepowinna powrócić winteresie dobra państwa i samej religii.“

Rzymscy katolicy starają się także pociągnąć protestantów, chcąc przy ich pomocy wywalczyć sobie pewne prawa, których się zrzec nie chcą. Nazywają oni kościół protestancki bratem katolickiego i wzywają do przymierza z sobą wszystkich, którzy wierzą jeszcze w Boga, w trójcy jedynego. Protestanci jednak nie nadają wielkiego znaczenia podobnym słowom i nie myślą na seryo o kruchem przymierzu z czułącymi się, lecz właściwie nigdy nieprzejednanymi wrogami. Chętnie za to podają dłoń zgody starokatolikom, których nazywają „dziećmi jednego z nimi ducha.“ Pojedyncze zaledwie głosy ujmują się niekiedy za rzymsko-katolikami.

Lecz i śród protestantów znajdują się tacy, którzy niedaleko odbiegli pod względem moralnym od ultramontanów. Następujący fakt doskonałym jest tego dowodem. Na drugiem synodalnem zebraniu w Pomeranii (1881), jeden z koryfeuszów luterańskiego klerykalizmu, hr. Kleist Rezow, podniósł myśl konieczności założenia bractwa na wzór „nadzwyczaj pożytecznego, pięknego i zasługującego na szacunek katolickiego zakonu Jezusowego.“ Dostojni ojcowie kościoła luterańskiego przyklasnęli tej myśli, godząc się z wnioskodawcą, iż doskonały ten zakon szkaradnie został spotwarzony przez ateistów za to jedynie, że gorliwie dopełniał swych obowiązków i niezliczone okazał zasługi każdemu z wyznań chrześciańskich!

Dla całości obrazu poświęcić należy także słów kilka katolickiemu ruchowi socyalistycznemu, zrodzonemu i przejawiającemu się dziś jeszcze w Niemczech. Pierwszym apostołem tego katolickiego, albo, jak go sami nazywają, chrześciańskiego socyalizmu był znany biskup Ketteler, autor dzieła: *Die Arbeiterfrage und das Christenthum* (1863 i 1864). Urodził on się 1811 r. w Münster. Do 1838 był referendarzem pruskim, poczem wstąpił do stanu duchownego i od r. 1846 był księdzem w Hopsten, następnie proboszczem w Berlinie. Zostawszy w r. 1850 biskupem Moguncyi, znacznem szczycił się poważaniem wśród katolików i dzięki wpływowi, jaki wywierał na dwór królewski, silną dał przewagę jezuityzmowi w szkołach katolickich. Chciał on i ruch socyalistyczny sprowadzić na młyn kościoła i wskutek tego wystąpił jako obrońca ludu. W r. 1870 protestował przeciw nieomylności papieża, lecz wkrótce się z nią przejednał. Będąc członkiem parlamentu, założył (1871) partyę centrum, nadawszy jej charakter socyalistyczny w rodzaju dzisiejszego socyalizmu Bismarka. Wraz ze swem stronnictwem występował energicznie przeciw prawom majowym i „kulturkampfowi.“ Umarł w r. 1877.

Praktycznym wykonawcą idei Kettelera stał się kanonik katedry mogunckiej, Mufang. W r. 1865 wydawać zaczął czasopismo *Christlich-sociale Blätter*, zakładał towarzystwa socyalistyczne z określonym programem dla podtrzymania robotników w ich walce z kapitałem. Podobnie jak Ketteler i Lassalle, żąda on zapomóg państwowych dla wytwórczych stowarzyszeń robotniczych i wspierania ich przez obstalunki państwa, z warunkiem jednak, ażeby stowarzyszenia te były swobodne. Samo społeczeństwo pracować powinno nad poprawą ustroju społecznego, głównie zaś i koniecznie potrzebnym jest do tego energiczny współudział robotników, uciskanych przez dzisiejsze urządzenie ekonomiczne; potrzebną jest ich samopomoc pod kierownictwem ludzi doświadczonychi dozorem kościoła, który, jako przedstawiciel chrześciaństwa, starać się winien o wprowadzanie zasad chrześciańskich w życie nietylko jednostek, lecz i narodów. Za środek ku temu mają służyć stowarzyszenia robotnicze we wszelkich gałęziach przemysłu. Dzień świąteczny wolnym być powinien od pracy, robotnicy poświęcić go mają modlitwie i słuchaniu kazań, które muszą być zrozumiałe i tyczyć się ich osobistych interesów. Praca dzieci i kobiet w fabrykach, jako podkopująca moralnie główną osnowę cywilizowanego społeczeństwa, t. j. rodzinę chrześciańską, ma być usuniętą i wzbronioną. Związki robotnicze winny być niezależnemi w granicach swych interesów prywatnych.

Przykład Mufanga i uznanie ze strony papieża zachęciło innych duchownych do energicznego działania w tej sprawie, zaciągali oni w swe szeregi mnóstwo osób obojej płci ze wszystkich klas społecznych: arystokratów, bankierów, kupców, fabrykantów itd. Zaczęły płynąć liczne ofiary ze wszech stron, powstało czasopismo popularne i propagowane coraz silniej. Z pośród agitatorów najwięcej czynnym był baron Schorlemer-Alst, członek parlamentu i drugi po Windhorscie wódz partyi centrum. Jako właściciel ziemski zajął się specyalnie organizowaniem kółek chłopskich, podczas gdy Mufang działał pośród robotników fabrycznych. W r. 1867 odbył się pierwszy kongres chrześciańskich socyalistów. Odtąd związki robotnicze szerzyły się ciągle, a w chwili rozpoczęcia „kulturkampfu“ liczyły setki tysięcy członków. Walka wzmocniła bardziej jeszcze ich działalność. Z socyalno-demokratami partya ta nie łączyła się nigdy, niekiedy tylko głosowała razem z nimi w sprawach tyczących się „kulturkampfu.“ Bywały też wypadki, iż katolicy podawali swe głosy przy wyborach socyalno-demokracie, gdy nie mogli swego przeprowadzić kandydata.

Rozebrane powyżej przejawy współczesnej fermentacyi religijnej, spowodowane dążeniem religijnego uczucia ku zadowoleniu się nowemi, odpowiedniejszemi formami, stanowią konieczne zjawiska postępu cywilizacyi. Krytyka w sferze myśli rozszerzać się musi wraz z jego rozwojem. Zwiększające się potrzeby umysłowe jednostek zaczynają się wyrażać w dążności do poprawy starych form danego systematu myśli, niemogącego już ich zadowolić. Ów więc systemat przekształcić się musi odpowiednio do wymagań cywilizacyi, lub też rozdziera się na oddzielne gałęzie, a z nich znowu te tylko ocaleją, które zdołają przystosować się do nowych warunków czasu. Niepogodzone z jego potrzebami ulegają zagładzie. Ultramontanizm, czyli katolicyzm rzymski znajduje się w takim położeniu. Zreformowany do pewnego stopnia mógłby długo jeszcze służyć za punkt ciążenia dla wielu; nie chce wszakże, jak widzimy, chwycić się jedynego środka ratunku, a tem samem zgubę swoją przyspiesza.

Racyonalizm tymczasem coraz silniej nurtuje społeczeństwo, wywraca stare formy, burzy dogmaty religijne, ciemne i niezrozumiałe, dążąc natomiast do zachowania w całości istotnego pierwiastku chrystyanizmu, pierwiastku altruistycznego, który, coraz więcej potężniejąc, stanie się powszechną religią przyszłości.

Dr. A. Złotnicki.

*) Wiktor Kathrein. *Die Aufgaben der Staatsgewalt und ihre Grenzen*. Freiburg. 1882.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Nowele, I, Kraków. Bartoszewicz.

Imiona: Daudeta, Jokaja, Puszkina, Turgeniewa, Polko i Kulisza zdobią okładki wydawnictwa. Całość obejmuje 65 stronic, na których zmieściło się aż siedem nowelek. Są to malutkie obrazki, dla których tłem jest najczęściej jakiś gwałtowne albo smętne i ciche — uczucie osobiste.

W swych *Gwiazdach* Daudet pokazał czytelnikowi prowansalskiego pasterza, któremu przypadkiem udało się przez jedną noc pozostać sam na sam w górach z ubostwianą przezeń córką gospodarza. Pasterz opowiada dziewczynie o gwiazdach. Polski czytelnik wyobraża sobie mimowoli jakiegoś Wojtka w podobnej sytuacyi i myśli: „Nasz chybaby się nie był zachował tak idylicznie?“

Puszkina *Wystrzał* przedstawia analizę rodzącej się i rozwijającej żądzy zemsty, która słabnie i ustępuje pod wpływem pobudek wyższych. Jest to kilka trafnych rysów z życia oficerów rosyjskich.

Jokaj w *Przygodach mojej gruszki* daje obraz wygórowanych pragnień młodzieńczych, z których surowa rzeczywistość obrywa z czasem kwiatek po kwiatku. Opowieść ta robi smutne wrażenie.

Pieśń zwycięskiej miłości Turgeniewa zabija niemal jakimś szalenie gorącym oddechem wschodniej namiętności i jątrzy wyobraźnię mistycyzmem, któremu zresztą nowsze odkrycia w dziedzinie zwierzęcego magnetyzmu nadają dzisiaj pozory prawdy.

Orysia Kulisza jest pełną wdzięku i... banalności sielanką kozaczą.

Eliza Polko dostarczyła tłomaczom aż dwóch obrazków—z życia dwóch wielkich włochów: Dantego i Lucianiego. Świeżość uczucia, którą potęguje jeszcze dziewiczo piękna atmosfera italskiej sztuki— nadaje tym drobnostkom więcej wdzięku, niż się po takich tematach pospolicie spodziewać można.

Najbardziej godną uwagi jest druga nowela Daudeta: *Tajemnica majstra Cornilla*. Wybudowanie w Paryżu młyna parowego zabija przemysł drobnych właścicieli wiatraków. Jest to stara jak świat piosenka, dla której motto zawiera się w słowach, iż postęp—to moloch, wymagający dużo ofiar. Czytając w dziennikach radośnie tryumfalne wieści o nowych wynalazkach, wszyscy oglądamy tylko jasną stronę medalu. Na odwrotnej ujrzelibyśmy zawsze rojące się tłumy biedaków, którzy błędnym wzrokiem rozpaczy śledzą ruchy tryumfatora i z przekleństwem na ustach padają mu do nóg.

Drobny handlarz, samodzielny i niezależny od nikogo przemysłowiec — stają się wyrobnikami, murzynami. Dobrodziejstwo, którego doświadczają miliony, okupuje się łzami i niedolą tysięcy. Wsteczniсу przyczynę złego widzą w postępie, myśliciele każą jej szukać — w tamowaniu jego pochodu. Wynalazek zabija tysiące, ale nie byłby zabił nikogo, gdyby korzyści z niego płynące, nie skupiały się w ręku wybranej jednostki.

W opowiadaniu Daudeta postać starego młynarza szczególniej nas, polaków, powinna do filozoficznych usposabiać rozmyślań. Iluż to mamy śród siebie takich młynarzów! Nowe hasła oddawna już braci ich pchają na nowe tory, a oni, stojąc niebacznie na straży zużytych i przeżytych wiatraków, oszukują siebie i innych a w braku zboża zbierają do swoich młynów stare gruzy i glinę!..

Zewnętrzna szata przekładów zdradza pośpiech. Nadewszystko tłomaczenia z rosyjskiego pozostawiają wiele do życzenia.

Rzymska jedynka, stojąca na okładce, każe się domyślać, że wydawca na tej pierwszej seryi nie poprzestanie. Radzimy więc mu zachować nietylko większą staranność w wyborze tłomaczów, ale i autorów; o ile pożądanemi są tematy społeczne, o tyle znów okropności miłosne nie wielu już dziś rozczulają.

Łódź i wiosło, treściwy podręcznik dla wioślarzy, objaśniony licznymi drzeworytami, wydany świeżo nakładem warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego, jest bardzo elementarnem streszczeniem odnośnych rozdziałów dzieła F. Grumbachera, ogłoszonego w Wiedniu w r. 1880 p. t. *Rudern und Trainiren*. Znajdujemy tam określenia rodzajów łodzi, wiosła i ich części składowych, wskazówki co do poprawnego wiosłowania i sterowania oraz główne zasady urządzania wyścigów łodziowych. Na końcu podane są ogłoszenia firm dostarczających przedmioty potrzebne zwolennikom. Otóż winniśmy ostrzedz, że najważniejsza z nich „G. Tarryera i Sp.“ w Berlinie, wyrabiająca łodzie, wiosła itp. jak z naszej chybionej korespondencyi dowiedzieliśmy się, została już zwinięta.

M. B.

LIBERUM VETO.

Fatalne szczęście. — Lwowski adres do Matejki. — Kara na autora. — Jego dobre informacye co do zamiarów Opatrzności. — Zamiana celów wyższych na niższe. — Idea ojczyzny w malarstwie. — Zdobycie Smoleńska i ogłoszenie zwycięstwa przez Stańczyka. — Popioli duchem przenajświętszym. — Czy potrzeba rozum tracić. — P. Kamiński wydobyty z przepaści.— Rada. — Miłość dla Verbecka i nienawiść do Cinisellego. — Źródło tych uczuć. — Séance litteraire. — P. Kudasiewicz.

Trzebaż doprawdy osobliwego szczęścia, ażeby za 25 lat pracy genialnej otrzymać taki adres—jak Matejko ze Lwowa! O Boże, jeśli autor tej okropności będzie śmiał stanąć na Dolinie Jozefata, daruj mu wszystkie inne grzechy, ale tego nie przebacz; niech za karę przez wieczność czyta swój panegiryk, a będzie ukarany bardziej, niż gdyby nieustannie deklamował wiersze p. Kudasiewicza. Jestem pewien, że przy każdem powtórzeniu wybitniejszych ustępów (po śmierci ludzie są mędrsi) odgryzie sobie kawałek ręki, którą za życia pisał. „*Nie mogła* nam Opatrzność — powiada on — jedynie tylko dla chwilowej cierpień naszych osłody zsyłać sztukę, na jaką przodujące światu narody zdobywały się tylko w najważniejszych dobach swej potęgi i chwały. Taką sztukę zsyłając narodowi Opatrzność, *zapowiedziała*, że przeznacza go do celów *jeszcze wyższych* może, niż je wytyczała narodom innym.“ Mniej by nas w tych słowach zdumiewała dobroć Opatrzności, niż zastanawiająca co do jej zamiarów informacya autora adresu, gdybyśmy nie znali prawdy pewnych doniesień, czerpanych niby „z wiarogodnego źródła.“ Już nas na te plewy nie łapie polityk, zaglądający przez dziurkę od klucza gabinetów dyplomatycznych, a cóż dopiero mówić o reporterze, dostrzegającym coś przez dziurkę gabinetu Opatrzności! Po Koronowiczu i innych z nieba „inspirowanych“ a wreszcie po tysiącznych zawodach, już nawet najnaiwniejsze u nas kelbie takiej wędki nie trącają. Jeżeli prosimy o co Opatrzność, to tylko o to, ażeby nam „wytyczała“ takie same cele, jak innym narodom, i nie przeznaczała do „wyższych,“ bo te wyższe strasznie nas drogo kosztują — choć ich dotąd nie widać. „Przez Polskę— czytamy dalej — Bóg nową erę (?) odrodzenia, bo nową ideę zesłał malarstwu — ideę ojczyzny.“ Mistrzu krakowski, czyż to prawda? Czy dla uczczenia twego potężnego geniuszu potrzebnem jest takie kłamstwo, że przez ciebie dopiero malarstwo zrozumiało ideę ojczyzny? Jowisz brwi marszczy i przed niedorzecznym hołdem w chmury ucieka—a my idźmy dalej. Autor adresu ma niepłonną nadzieję, że „spełnią się proroctwa Wernyhory“ i że Matejko wymaluje nam Stańczyka „odkupionego, wołającego: Hosanna! Radujcie się i bawcie... *Smoleńsk odebrany!*“ Tak — „radujmy się i bawmy,“ bo dawno już równie naiwny clown nie wyskoczył na arenę cyrku. Rozumiecie go? My, którzy położylibyśmy się z uśmiechem do grobów, gdybyśmy umarli z nadzieją, że prawnukowie nasi w obecnej polskiej zagrodzie się utrzymają i po polsku mówić będą, my za życia Matejki mamy „odebrać Smoleńsk“ a tę nowinę obwieści nam—błazen —Stańczyk! Ach, komitecie lwowski, za Słowackim:

> Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
> Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Czyż w łonie tego komitetu nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby owemu wróżbicie, przepowiadającemu w adresie do Matejki błazna, ogłaszającego „odebranie Smoleńska,“ wylał bodaj flakonik zimnej wody na głowę? Czyż takiego olbrzyma, jakim jest Matejko, nie można uczcić rozumnie i potrzeba uciekać się do lekkomyślnej przesady? Czy wiecznie ma się utrzymywać prawda tych słów poety, że

> Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
> Bośmy się Duchem bożym tak popili,
> Że nam pagórza, ojczyste grobowce
> Przy dźwięku fletni skakały jak owce?

Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby mistrz krakowski, przeczytawszy ten wesoły adres, pomyślał sobie: czyż moje dzieła nie dostarczają materyału do wyrażenia mi wdzięczności ziomków, którąby u swoich znalazła powszechny odgłos a u obcych nie zasłużyła na szydercze uśmiechy? Czyż ja, twórca *Kazania Skargi*, *Rejtana*, *Unii*, *Hołdu pruskiego* nie zasłużyłem w dzień mego jubileuszu na hymn uczuć, do którego by nie zaplątała się żadna fałszywa nuta? Zaiste, ma on prawo tak się skarżyć, bo jest tak wielkim, że dosyć sprawiedliwie określić jego miarę, ażeby go wznieść po nad wszystkich współczesnych. „Pijane duchem przeświętym“ usta nie potrzebują dla jego sławy wykrzykiwać bezprzytomnych wiwatów, a pijane ręce podrzucać go w górę—on bez tej owacyi stoi wysoko.

Wyborcy Stanisławowa także wyrzucili do góry p. Kamińskiego, słynnego z procesu o łapówkę. Zdawało się, że ten tolerancyjny w rzeczach moralności obywatel stoczył się tak głęboko, że go żadna siła stamtąd nie wydobędzie. Tymczasem Herkulesy stanisławowskie pokazali, że czemu nie podoła żadna sztuczna winda, tego oni dokonają swemi gałkami. Dzięki im, jeszcze nieumyty z zarzutów faktor barona Schwartza otrzymał mandat poselski. Otrzymał—to mniejsza, ale czyż go przyjąć zamierza? Czyż będzie śmiał zakażać powietrze sejmu ostrą wonią swej zgniłej sławy? Radzę mu szczerze: niech poprzestanie na poprawie swego moralnego kredytu zaufaniem wyborców i niech się zrzecze zaszczytu na kogokolwiek, kto starań o koncesyę kolei transwersalnej nie robił i o napiwek za nie się nie upomniał.

Ale... opuśćmy Galicyę. U nas w domu cicho. Wszystkie *ingresy* i *pałiusze* już drobiazgowo i poprawnie opisaliśmy. p. Lindleya przepędziliśmy przez rózgi, całą więc uwagę naszą zajmują już tylko pp. Verbeck i Ciniselli. Pierwszy z nich stał się dziwnie szczęśliwym pieszczochem naszych dzienników, drugi—kozłem ofiarnym. Ponieważ posłannictwo cywilizacyjne rozmaitych sztuk magicznych niezbyt przewyższa misyę przedstawień cyrkowych, długo więc nie pojmowaliśmy, skąd ta nagła miłość ku Verbeckowi a nienawiść do Cinisellego. Aż oto jedno z pism zdradza tajemnicę: profesor magii (zręczny filut!) przed rozpoczęciem widowisk urządził „posiedzenie dla prasy,“ które zakończyło się podobno przy suto zastawionym stole. Tymczasem właściciel cyrku o tej drobnej a tak naturalnej grzeczności zapomniał. Skutkiem tego: p. Verbeck przedstawia „zręczność iście zadziwiającą,“ a p. Ciniselli posiada liche konie, niesumiennego kasyera i woltyżerki, które w sklepach kradną broszki. Od czasu do czasu zjawia się w naszej redakcyi jakiś zagraniczny osobnik we fraku, białym krawacie i jasnych rękawiczkach, pragnący widzieć się z redaktorem. Odpowiadają mu zwykle, że redaktora niema w domu i nie wiadomo, kiedy powróci. Dzieje się to zawsze, ile razy przypuszczać możemy, że przybyły jest jakimś „profesorem.“ I co za rezultat tej naszej dzikości? Oto nigdy nie możemy sobie wyrobić gruntownego sądu o magii i cyrku, a w danym razie nie umiemy poradzić czytelnikom, kogo bardziej kochać powinni: p. Verbecka, czy p. Cinisellego. Bo nie zawsze nawet zdania prasy tak czysto się wyklarują. Na szczęście w obecnym wypadku nie potrzebujemy się wahać: uczęszczajcie na przedstawienia Verbecka, bo ten posiada „iście zadziwiającą zręczność“ i „przewyższył wszystkich towarzyszów swej sztuki,“ z wyjątkiem naturalnie tego, który po nim do Warszawy przyjedzie i „séance litteraire“ z kolacyą urządzi.

Winienem jeszcze usprawiedliwić się p. Kudasiewiczowi, dlaczego na wstępie wspomniałem jego nazwisko. Dlatego, że — jak on powiada w swych *Poezyach*—

Nie ci
Poeci
Co wiersze klecą,
Którzy
Do róży
Stosują (?) pienia,
Tacy
Wśród pracy
W niebo nie wzlecą.

A więc muszą pójść do piekła i tam odczytywać swe wiersze potępionym. Ciekawa jednak rzecz, gdyby p. Kudasiewicz, przed wydaniem swych utworów, urządził był „séance litteraire," czy by mu nie przyznano „iście poetyckiego natchnienia?"

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Dziewica z Sosnowca, Niniche i *Kuryer Codzienny*. — Kapitał i praca. — Pytania pod adresem sędziów wystawowych. — Niesłuszny smutek *Gazety Lubelskiej*. — Mickiewicz i łapówki. — Policya żydowska i chrześciańska. — Objawy energicznej kultury. — Hrabia w Wilnie.

Była tak niewinną, ale to tak niewinną i wstydliwą, że w trzydziestej wiośnie życia księdza od junkra nie umiała odróżnić. Mieszkała z matką w Sosnowcu i była pewną, że największym na świecie grzechem jest: patrzeć na wystawę męskich — kapeluszy. Miała dużo dobroci, mało wdzięków i nic posagu.

W Sosnowcu mieszka wprawdzie młodzież mocno przywiązana do tradycyi, młodzież, która nie byłaby się uganiała za nowożytnym „posagiem," która w dziewczynie szuka tylko cnoty i tradycyjnego— wiana; ale zły duch szepnął młodzieży sosnowieckiej, że „posag" znaczy właściwie tyle co „wiano." Wskutek tego nic już nie groziło dziewictwu owej 30 razy wiośnianej istoty.

O zgubę przyprawili ją panowie Górski, Szymborski i pani Niniche...

Melpomena wędrowna rozbiła namiot. Mieszkańcy i mieszkanki Sosnowca, gnani rozumie się patryotyzmem, pobiegli do „przybytku sztuki." Jakoż „kapłani" i „kapłanki" wyprawiali tam takie *sztuki*, iż twarze niewinnych dziewic okryły się rumieńcem, a rumieniec — wachlarzem. Tak jest: i usta i nosy i brody słuchaczek zakryły się wstydliwie; pozostały tylko — oczy i uszy.

Po skończonych przedstawieniach splamione lilie wydelegowały jakiegoś Jeremiasza, aby napisał w *Tygodniu* piotrkowskim o tem „co pan Górski i Niniche w Sosnowcu sprawili jako szlachetne dziewic sosnowickich dusze pełne są oburzenia."

Chwilkę zastanowienia, piękne damy. Posłuchajcie, co w tej mierze mówi *Kuryer Codzienny*: znaczenie teatru u nas jest tak wielkiem, że niech już sobie grają, co chcą, byle grali. Ależ ma się rozumieć. My inteligencya jeszcze nie tyle potrzebujemy tego ekstraktu patryotycznych bulionów; ale wyobraźcie sobie, jak się nim wzmocni przeciętny Wojtek. Niejeden, gdy się nasłucha tłomaczonych z francuskiego kalamburów, gdy zobaczy kankana i „idealne" trykoty — poczuje zapewne, że w nim płynie dzielna krew polskich rycerzy, a jeżeli dla braku turków i tatarów zacznie, powracając z „przybytku," zwalczać widma snujące się po Nowym świecie, no, to dla tego, że rozbudzone przez panią Niniche „szlachetne uczucia" muszą przecie znaleść jakieś upusty.

Szeroki odpływ w naszych gazetach znajdują dla siebie również uczucia pewnego ziemianina, trapionego przez służbę folwarczną i parobków. Panowie — wola on do swych braci — brońmy się i strzeżmy, bo oto ciemne, a głupie Maćki wraz z żonami i dziećmi swemi czyhają na naszą zgubę. Płakałem kiedyś, gdy mi piastunka opowiadała, że jakiś niedobry baran chciał zjeść pokornego wilczka; dzisiaj jednak powieść taka jużby mię nie rozrzewniła, chociaż „zdarzyło się raz nawet, że obywatel przegrał w sądzie sprawę z parobkiem, który go w środku roku opuścił." Nie rozczuliłbym się, bo nie wiem, ile razy zdarzyło się, że sprawę przegrał parobek. Dla tego też wstrzymam się jeszcze od wyroku na korzyść panów, pomimo, iż, jak znajduje płaczący ziemianin, „na wsi kapitał nie wyzyskuje tak pracy, jak w fabrykach."

W ostatniem twierdzeniu jest dużo racyi. Kapitały wiejskie nie wyzyskują pracy, gdyż nie mają do tego czasu. Zkieszeni obywatela przenoszą się one bardzo prędko albo na bruk miejski, albo do wód zagranicznych, gdzie nie potrzeba suszyć głowy ani „spółkami rolniczemi," ani „tanim kredytem."

Jak na teraz, kapitały owe mają przed sobą wiele pracy. Zbliża się nie tyle radosna, ile wesoła dla całego kraju chwila — wystawy inwentarza. Ze wszystkich ziemi naszej zakątków sypią się do komitetu sędziów wystawowych rozliczne zapytania, mające na celu wyświetlenie różnych zagadnień z rolnictwa i przemysłu. Wyczerpującym nadewszystko jest program pytań, odnoszących się do konkursu kowali. Jeżeli jednak większość tych synów Hefesta pochodzi z Warszawy, to radziłbym niektóre pytania przełożyć na język polski. Inaczej pan Bartłomiej Podkowa nie zrozumie np., gdy go zagadniemy: „koń mający kostne *narosta* *), jak ma być kuty?"

Obywatele z Nalewek, pragnąc zapewne przyczynić się do „wyświetlenia wielu kwestyj," przysłali na moje ręce pod adresem areopagu sędziów kilka następujących pytań: 1) W jakiej porze roku najkorzystniej jest strzydz odmianę cienkorunnych owiec — zwaną *ovis schlagonaria?* 2) W jakich klatkach można zatrzymać ptactwo — *pozłacaną młodzież*, aby nie ulatywało, zostawiając za sobą niezapłacone weksle? 3) W jaki sposób można byłoby zapewnić żydom wielkie zyski ze spółek komandytowych?

Tylko jedna *Gazeta Lubelska* nie okazuje z powodu wystawy należytej radości, bo „chociaż konie lubelskie będą stanowiły piątą część wszystkich rumaków wystawowych, za to bydło nasze będzie reprezentowane zbyt słabo." Szanowny organ jest względem swoich niesprawiedliwym, gdyż zaraz o kilka wierszy dalej sam powiada: „bydło bowiem przedstawia (?) hrabia X." Spodziewam się, że żadna inna gubernia nie poszczyci się czemś podobnem. Być wystawcą — to już dużo znaczy, ale przedstawicielem bydła — to chyba poświęcenie, lub... *lapsus calami*.

Bywają jednak rzeczy stokroć dziwniejsze. Ktoby też np. przypuszczał, że do wzniesienia pomnika Mickiewiczowi przyczynią się *łapówki?* A przecie tak jest w rzeczy samej. „Dzierżawcy propinacyi w miasteczku Z. w powiecie olgopolskim na Podolu, wchodząc w nowe układy z administracyą majątku, wręczyli jednemu z członków tejże administracyi weksle na rs. 300." Po skończonych układach okazało się, że weksle owe były zbyteczne; zapytano więc pp. dzierżawców, na jaki cel je złożyli? Zagadnięci znienacka odparli, iż jest to „wynagrodzenie" dla administracyi za „przeprowadzenie interesu" i że z pieniędzmi będzie ona mogła zrobić, co się jej podoba. Ponieważ „wynagrodzenie" takie nazywa się inaczej łapówką, więc administracya wyegzekwowane przez siebie 300 rs. odesłała do redakcyi *Wieku* na pomnik Mickiewicza, nadmieniając przytem, że ofiara pochodzi od pp. O. i P. Brejtmanów z miasteczka Z.

Nie udała się również spekulacya wódczanym specyalistom mińskim. Panowie ci, chcąc zapewne zmniejszyć brzemię podatków pośrednich, umyślili sobie połowę przynajmniej gorzałki pędzić „bez pomocy" akcyzy. W tym celu mieli oni wzorowo uorganizowaną policyę. Na obu dworcach kolejowych w Mińsku znajdowali się sprytni żydkowie, którzy nie tylko znali doskonale wszystkich urzędników akcyzy, ale umieli zawsze dowiedzieć się od nich, dokąd jadą na rewizyę. Ze zwierzeń tych korzystali niezwłocznie, zawiadamiając kogo należy telegrafem o bliskiej wizycie rewizora. W ten sposób niepodobna było złapać gorzelników na gorącym uczynku i byłoby wszystko dobrze aż dotąd, ale znalazł się jakiś czarny zdrajca: policya starozakonna wpadła w ręce policyi nowozakonnej i — znikła.

Niechby też równie energicznie zawinęli się stróże bezpieczeństwa w Kobryńskiem. W okolicach owych powstało „stowarzyszenie" przeszło 200 zbójców, którzy teraz podzieliwszy się na partye, rabują i zabijają, gdzie można. Obywatelkę jedną spalili żywcem... Może to za energiczny objaw kultury? Pocieszmy się jednak: z niecnej tej bandy zdołano już złapać 8 opryszków, zostało tylko 192.

Inne objawy nowożytnej cywilizacyi chciał oglądać u siebie p. Tyszkiewicz. Zapragnął on połączyć swoje dobra z Wilnem — za pośrednictwem telefonu. Na szczęście pragnienie to nie odniosło pożądanego skutku. Europa ani się domyślała, że gdzieś w zapadłym Wilnie mieszka człowiek o takich dążnościach. Co za szalona chęć korzystania z najnowszych wynalazków! Nie masz tam, szanowny hrabio, samowarów i liczydła? Na teraz mógłbyś na tem poprzestać.

Maryan Bohusz.

*) Możebyśmy się zadowolili tem, że mamy *bileta* i *przedmiota?*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 6 czerwca.

Rezultat wyborów w Galicyi. — Sprawy kościelne w Niemczech. — Ożywienie w polityce. — Demonstracye w Rzymie.

Mamy już dokładne wiadomości o rezultacie wyborów w Galicyi. Przyszły sejm krajowy mieć będzie bardziej, aniżeli poprzedni, wybitną cechę zachowawczą. Postępowcy różnych odcieni pozyskali tylko około 30 głosów. Rusini zdołali przeprowadzić zaledwie 11 kandydatów, przeważnie narodowców lub bezbarwnych, świętojurcy otrzymali zaledwie kilka mandatów. Niepotrzebnem solidaryzowaniem się z świętojurcami narodowcy zaszkodzili sobie nawet w oczach bezstronnych polaków. Inne szczegóły tej sprawy znajdzie czytelnik w osobnej korespondencyi.

Na uwagę w niej zasługuje także upadek kandydatury d-ra Filipa Zuckra w Brodach. Zachowawczy żydzi rozdrażnieni przeciw niemu, że wystąpił z projektem zniesienia kahałów i chederów, oddali swe głosy chrześcianinowi, bankierowi Simonowi, który nieznaczną większością przeszedł. W odpowiedzi na to centralny Komitet postawił kandydaturę Zuckra w jednym z okręgów wyborczych większej własności, dotychczas jednak nie wiadomo, z jakim skutkiem. W Białej na pograniczu Szląska i Galicyi z powodu niedbalstwa komitetu wyborczego zwyciężył kandydat centralistyczny. Nacisk na wyborców ze strony władzy był dosyć silny, to też w przyszłym sejmie zasiądzie na ławach poselskich kilkunastu urzędników, po większej części starostów.

Rząd pruski w stosunkach kościelnych okazuje usposobienie pojednawcze. W Izbie sejmu pruskiego złożony został projekt prawa, zmieniający ustawy majowe i przywracający księżom wolność sprawowania obrządków religijnych. Wątpić jednak można, czy te częściowe ustępstwa zadowolą wygórowane żądania Watykanu.

W tym samym duchu dał (4 czerwca) odpowiedź minister wyznań na opatrzoną 70 podpisami członków parlamentu i wniesioną przez ks. Stablewskiego interpelacyę w sprawie o używaniu języka niemieckiego do wykładu religii. Minister oświadczył, że wykład ten powinien się odbywać po polsku w tych miejscowościach, gdzie dzieci nie znają dostatecznie języka niemieckiego, i że władze regencyjne poznańskie otrzymały już rozkaz ścisłego stosowania się do tych przepisów.

Akcya dyplomatyczna, zawieszona czasowo z powodu koronacyi w Moskwie, zaczyna się ożywiać pomału. Dzienniki półurzędowe pruskie rozbierają pokojowy okólnik rządu rosyjskiego i wysuwają znów na pierwszy plan widmo francusko-rosyjskiego przymierza. Ale najbardziej zwraca uwagę zmiana tonu w prasie paryskiej. Gazety ministeryalne mówią tam również o przymierzu rosyjskiem w sposób śmiały a nawet wyzywający. Jeden z generałów w rozkazie dziennym do wojska wspomina o bliskim odwecie. Nawet uczony Bert wygłosił w Lyonie mowę o odebraniu oderwanych od Francyi prowincyj. Tymczasem rząd francuski korzysta z tego wojowniczego zapału, aby energicznie poprzeć akcyę— w Tonkinie. Posiłki zostały już wysłane, ale wkrótce zapewne okaże się potrzeba nowego kredytu, bo wojna z Chinami i Anamem zdaje się być nieunikniona.

Uroczystości w Rzymie w rocznicę śmierci Garibaldiego skierowane były wręcz przeciwko Austryi. Na chorągwi „Demokratycznego stowarzyszenia studentów" nazwisko Oberdanka wypisane było złotemi głoskami, a gdy policya zabroniła noszenia tego godła, zastąpiono go czarnym, owiniętym krepą sztandarem. Kilkutysięczny tłum ludu udał się Kapitol wołając: precz z Austryą, precz z pokojem! Przed pałacem ambasady austryackiej wydawano obelżywe okrzyki. Na Kapitolu zaś wygłaszano mowy podburzające do wojny z Austryą i piętnujące własny rząd, „który zdeptał wolność narodu!" Ładna ilustracya do potrójnego przymierza!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Miłosierdzie. Otrzymaliśmy następujące pismo: „Od chwili, kiedy do wiadomości publicznej doszło, iż zajmuję się wysyłaniem na wieś słabowitych dzieci, zgłaszać się do mnie zaczęło wielu młodych ludzi, którzy kształcąc się w gimnazyach lub w wyższych zakładach naukowych, objawili życzenie udania się na wieś, celem poratowania zdrowia nadwątlonego nadmierną pracą (nauką, udzielaniem korepetycyi etc.). Niektórzy z nich inteligentni, wykształceni, obdarzeni najszlachetniejszemi uczuciami wzbudzili we mnie żywą sympatyę. z niewysłowiona przeto przykrością zmuszony byłem oświadczyć im, iż tylko chłopcy między 8 a 14 rokiem życia mogą być na kolonie letnie wysyłani. Wobec tak smutnej dla tych młodych ludzi ewentualności, powziąłem myśl odezwania się do ogółu naszych obywateli ziemskich, proboszczów i wogóle osób osiadłych na wsi z prośbą o zawiadomienie mnie listownie, czy który z nich nie zechciałby udzielić w domu swoim gościnności na 6—8 tygodni takiemu młodzieńcowi. Obok poczucia spełnienia dobrego uczynku, obywatel, dający u siebie gościnność, miałby miłego towarzysza, który bądź przy dozorowaniu dzieci, bądź przy gospodarstwie mógłby mu być pomocnym. Wyjednanie biletu wolnej jazdy na kolejach żelaznych dla takich młodych ludzi byłoby moim miłym obowiązkiem, a komitet kolonij letnich dla biednych dzieci, którego mam zaszczyt być członkiem, mógłby, rozszerzając swoją działalność, zaopatrzyć ich w niezbędne w takim razie pieniądze kieszonkowe. Jeżeli projekt mój znajdzie oddźwięk w sercach naszych ziemian, to najuprzejmiej upraszam o nadsyłanie do mnie (ul. Mazowiecka, nr. 4) odnośnych ofert."

Dr. G. Fritsche.

Szkoły. W bieżącym roku 22 polaków ukończyło nauki w Instytucie komunikacyj, w górniczym zaś sześciu.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego progimnazya żeńskie w Piotrkowie, Łomży i Kielcach zamienione zostaną na gimnazya.

Ordery. Gazety rosyjskie obliczają, że podczas obecnej koronacyi 10,000 osób otrzymało ordery. W czasie zaś koronacyi Aleksandra II-go udekorowano 4,000 osób.

Gimnazyum dla żydów. W Odessie magister nauk matematycznych Hochman wystąpił do władzy z prośbą o pozwolenie otwarcia gimnazyum klasycznego, do którego przyjmowani będą jedynie izraelici.

Katedra literatury polskiej w Bolonii. Teofil Lenartowicz w dotychczasowych kilkunastu odczytach mówił o pieśniach ludowych serbskich, rosyjskich, czeskich i polskich, o pierwszych prawach pisanych: *Zakonniku* Duszana, *Ruskiej Prawdzie* i *Statucie wiślickim*, w końcu o znaczeniu *Rękopisu królodworskiego, Słowa o pułku Igora* i *Pieśni Boga Rodzicy*. Wszystkie odczyty uczęszczane były licznie przez studentów i publiczność. Król na wniosek władzy uniwersyteckiej obdarzył prelegenta orderem korony włoskiej.

Ojców, który przed kilku laty przeszedł w niemieckie ręce, jest obecnie do sprzedania; wartoby go kupić za pieniądze polskie.

Bibliografia polska. Antoni Kudasiewicz, *Poezye* — Warszawa.

— Dr. Henryk Pacanowski, *Kilka uwag nad przebiegiem tyfusu brzusznego i wysypkowego* — Warszawa.

— Maksym Borucki, *Ziemia kujawska* pod względem historycznym, geograficznym, archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym. Zeszyt 4 ty. Włocławek, 1883.

— *Lira polska*. Wydawnictwo Lessmana i Świszczowskiego, tomik 4-ty, Warszawa.

— *Biblioteka najc. utw. lit. eur.* Tom 113: Dachlijszczyzna, powieść T. T. Jeża, Dzieje literatury powsz. (dalsze ciągi).

Prasa polska. W Stanisławowie zaczęło wychodzić pismo dla dzieci — *Światełko.*

— Leopold Waigel zamierza wydawać w Kołomyi dziennik, poświecony opisom miejscowości Pokucia i ludom je zamieszkującego p. t. *Turysta.*

Ulgi dla dysydentów. „Roskolnicy" rosyjscy otrzymali obecnie pewne ulgi, a mianowicie: pozwolono im zajmować urzędy, swobodnie jeździć po całej Rosyi, nawet otwierać domy modlitwy, byle budowa nie przypominała kształtów cerkwi; zabroniono tylko publicznego odprawiania obrzędów religijnych i procesyj. Ulgi te jednak nie stosują się do skopców, a prawdopodobnie i do niektórych sekt racyonalistycznych, uznanych za „bardzo szkodliwe."

Rzadki student. Najstarszy syn księcia Walii, domniemany dziedzic tronu angielskiego, książę Albert Wiktor zapisał się na studenta uniwersytetu kembrydzkiego i w jesieni tego roku rozpocznie studya. Przydadzą mu się.

Przemysł. W Radomskiem mają powstać dwie nowe fabryki: pierników i cukru.

Konkursy. Towarzystwo historyczno-literackie ogłosiło konkurs na temat: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych, dokładnie znanych sejmów (1543) aż do zagęszczającej się praktyki „liberi veto" w wieku XVII." — Nagroda wynosi 1,800 franków.

Teatrzyki ogródkowe przed kilku dniami rozpoczęły przedstawienia. Jedno dość liczne towarzystwo prowincyonalne gra w Alhambrze i teatrze Nowy-Świat. Inne przybytki Melpomeny hołdują w tym roku zabawom wesołym.

Pożar. Ogromne zakłady Putiłowskie w Petersburgu, nabyte niedawno przez towarzystwo Lilpop, Rau i Löwenstein, spłonęły; straty milionowe.

Bezpieczeństwo publiczne. *Now. Wremia* donosi, że w gubernii grodzieńskiej pojawiła się liczna banda rozbójników, złożona z dwustu przeszło ludzi i wybornie uorganizowana. Pod Kobryniem rozbójnicy ograbili dom Wąsowicza, pod Janowem obywatela Mańkowskiego a żonę jego żywcem spalili. Pod Lubieczowem ci sami złoczyńcy wymordowali całą rodzinę żydowską. Te straszne fakty obudziły nareszcie uśpioną czynność policyi i już podobno.. aż 8 rozbójników ujęto.

Sprostowanie. Mowy, podczas uroczystości założenia fundamentów nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie, wypowiedziane były nie po niemiecku — jak poprzednio za innemi gazetami donosiliśmy — lecz po polsku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. Ch. Są tylko prace cząstkowe: Jeskego *Świat dziecięcy* (3 tomy) rs. 5 k. 40; Goldhammera *Ogródek* dziecięcy rs. 3 i inne.

P. K. Rada nasza byłaby tak dalece zależną od rozmaitych warunków, pominiętych w liście Pańskim, że możemy dać ją tylko ustnie.

P. Zygmuntowi D. Nie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Мая 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.